

Joanna Szczepkowska
Jak wyprostować koło?

o

? D 0 D

Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego7 "Promocja Czytelnictwa" ogłoszonego przez' Ministra Kultury I Dziedzictwa Narodowego Płatna ze środków finansowych

Biblioteki ..Nawdówej

Joanna Szczepkowska

Jak wyprostować koło?

y'

Wydawnictwo Literackie

© Copyright by Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006 Wydanie pierwsze

?-9?

?5

ISBN 83-08-03903-0

?/(?

Dwie piosenki

— Proszę na scenę — głos dochodził z głośników zawieszonych w długim korytarzu. Szłam bardzo powoli, a moje myśli krążyły wokół domu, który chciałabym kiedyś zbudować. Ma być duży, wygodny, ma przyciągać dobrych, wrażliwych ludzi, których subtelny humor nadaje życiu harmonię. Myśląc o takim domu, szłam w kierunku sceny, a z głośników dochodziły ochryple dźwięki pospiesznie zorganizowanego koncertu. Dano mi do wyboru dwie piosenki, a ja tajemnym znakiem miałam pokazać akompaniatorowi, którą z nich zdecydowałam się zaśpiewać. Wybór nie był łatwy, niestety, zamiast przemyśleć rzecz w garderobie, zatopiłam się w marzeniach o domu. Teraz stanęłam w połowie korytarza. Daleko, na samym końcu widziałam światło reflektora.

Dano mi do wyboru dwie piosenki. Jedna to Pieśń o pochwalę męstwa i rycerskości, druga ma tytuł Buty Ziuty. Jeżeli zaśpiewam Pieśń, większość ludzi wyjdzie z sali. Ale dla tych, którzy zostaną, w ogóle warto śpiewać. Jeżeli zaśpiewam Buty Ziuty, mniejszość wyjdzie z sali, ale większość, która zostanie, będzie mnie kochać szczerą, żywiołową miłością. Oczywiście zaśpiewam Pieśń. Trzeba żyć pięknie i godnie. Jak ludzie, których chciałabym zaprosić do domu. Oczywiście, śpiewając Pieśń, nigdy nie zarobię na dom. Trudno.

7

Ruszyłam korytarzem, zbliżając się do białego światła.

Zaśpiewam Pieśń o pochwalę męstwa i rycerskości. Ale czy umiem ją zaśpiewać? Przecież ci, którzy zostaną na sali, nie zadowolą się samym faktem. Nie będą mnie oklaskiwać za to, że nie zaśpiewałam Butów Ziuty, chociaż mogłam. Oni siądą wygodnie, zamkną oczy i będą smakować styl, barwę dźwięku i czystość intonacji. Będą to wszystko odnosić do tradycji, legendy i prawykonania Pieśni. Jeżeli nie sprostam, nie będą mieli dla mnie litości. Zostanę skazana na artystyczną banicję i nigdy nie przyjdą do mojego wymarzonego domu, którego zresztą przecież nie zbuduję. Moje życie upłynie w małych, piwnicznych salkach, gdzie dla kilku entuzjastów, dwóch śpiących staruszek i pijanego poety będę wypełniać misję. A tak bardzo chciałabym mieć dom, gdzie zaprosiłabym ludzi dobrych, wrażliwych, których subtelny humor i...

A gdyby tak śpiewać Buty Ziuty, dopóki nie zarobi się na śpiewanie Pieśni? Buty Ziuty są, jakie są, ile w nich jednak życia i ożywczego rytmu! Ile żywiołowego

entuzjazmu wyzwalają w ludziach, przytłoczonych brutalną rzeczywistością. Długie nuty Pieśni są dla nich jak sznur, na którym można się tylko obwiesić. Czy miłość i wdzięczność tłumów to nic? Wielkie hale pulsujące kolorowymi światłami, gdzie przyszłoby mi spędzić część życia, to małe raje dla zwykłych zjadaczy chleba. Czy wolno to odrzucić?

A dom? Buty Ziuty potrafią robić pieniądze. Buty Ziuty są jak narkotyk. Już po kilku dniach większość zacznie odczuwać głód pulsującego rytmu i kilku prostych słów. Wykupią płyty, kasety, Buty Ziuty będą im potrzebne do pracy i miłości. W ciągu kilku miesięcy zbuduję

8

dom, gdzie zaproszę ludzi godnych najwyższego szacunku i zaśpiewam dla nich Pieśń o pochwalę męstwa i rycerskości.

Ale czy głosem zdartym od Butów Ziuty można zaśpiewać Pieśń?

A może zaśpiewać Pieśń na melodię Butów Ziuty? Albo Buty Ziuty na melodię Pieśni? Od sceny dzieli mnie jeszcze kilka kroków.

A może zaśpiewać Pieśń z refrenem Butów Ziuty?

Przede mną ciemna przestrzeń sceny. Światło reflektorów pozwala dostrzec sylwetki ludzi skupionych w oczekiwaniu. Akompaniator zawiesił dłonie nad klawiaturą i czeka na mój znak. On wie to samo co ja. Że znam dwie piosenki.

6 maja 2000 r.

Dziewczynka z kamieniem

Czy znacie Donnę Williams? Kiedy skończyłam jej książkę, przypomniał mi się obrazek z dzieciństwa: rodzinny spacer w upalny letni dzień. Idziemy przez wieś i nagle rodzice skręcają w kierunku chaty, która już powoli znika pod ziemią. Po co tam weszliśmy? Nie wiem do dzisiaj, zwłaszcza że nie było tam nic oprócz much, zapachu wilgoci, rodziny zgromadzonej wokół miski kartofli i... tej dziewczynki z kamieniem.

Była chyba w moim wieku, o ile zdążyłam zauważyć, zanim wybiegłam z chaty. W pierwszej chwili w ogóle nie byłam pewna, czy to jest człowiek. Piszcząc przeraźliwie, skakała do góry i z jakąś opętańczą zachłannością lizała szary kamień. Było to tak niespodziewane, tak przerażające, tak dalekie od mojego bezpiecznego świata, że z krzykiem uciekłam z chaty. Moje przerażenie chyba udzieliło się rodzicom, bo w drodze powrotnej słyszałam strzępki rozmów o biedzie i wynikających z niej chorobach. Ale nie było mowy o autyzmie. Nikt o nim wtedy nie wiedział.

Następnego lata postanowiliśmy tam wrócić, co było dla mnie wyzwaniem, próbą wytrzymałości, pokonaniem bariery strachu i wstętu. Ale dziewczynki tam nie było. — Jej już nie ma — mruknął ktoś znad miski kartofli. Gdzie zniknęła dziewczynka z kamieniem? To pytanie na-

10

sunęło się samo, kiedy zamykałam książkę Donny Williams Nikt nigdzie.

Kim jest Donna Williams? Oto cytat z krótkiej notatki: „Donna Williams mieszka w Australii, ale każdego roku przyjeżdża na Wyspy Brytyjskie jako profesjonalny konsultant do spraw autyzmu. Prowadzi wtedy seminaria, warsztaty i terapie. W Australii i UK jest konsultantem ministerstwa zdrowia, ministerstwa edukacji, organizacji humanitarnych, szkół, domów opieki, osób autystycznych i ich rodziców, które się zwracają o pomoc. Na swojej stronie internetowej (okienko «Events») podaje zestaw tematów wykładów, seminariów i warsztatów, które oferuje w czasie swoich służbowych podróży”. Poza tym Donna jest malarką, rzeźbiarką, kompozytorką i autorką bestselleru Nikt nigdzie, przetłumaczonego na 14 języków.

A kim była Donna Williams? Dzieckiem wsłuchanym w odgłos, jaki daje klepanie własnego podbródka. Dzieckiem, które widzi, jak ściany unoszą się pod wpływem hałasu. Wrzeszczącym bez powodu. Mrużącym oczy, żeby świat wokół zwolnił bieg. Wymiotującym ze strachu. Bijącym jednostajnie głową o szkolną ławkę. Dzieckiem, które godzinami siedzi w środku małej szafki. Zgubą dla własnej matki. Wiecznie uciekająca, zaniedbana, kaleczona przez siebie samą, o czym po latach napisze: „Moje człowieczeństwo, moje fizyczne trwanie bardzo mi zawadzało”. Dzikie, nieprzewidywalne dziecko ulicy przerażone swoją innością. Donna żyła na granicy autyzmu i świadomości, że nie pasuje do świata, i już w dzieciństwie podjęła podświadomą desperacką autoterapię, która pozwalała jej przetrwać, a nawet rozwijać się po swojemu.

11

Cała jej życiowa włóczęga miała jeden cel: zrozumieć, kim jest i dlaczego jest właśnie taka. Kiedy w szpitalnej bibliotece natknęła się na słowo „autyzm” i zaczęła je rozumieć, przyszło wyzwolenie.

Donna, dzisiaj 42-letnia, mówi: „Jestem dumna z tego, że wciąż brutalnie jestem po prostu Donną. Zdarza mi się postrzegać świat «do góry nogami» i zaczynać rzeczy «od końca». Zdarza mi się nie wiedzieć, jaki jest dzień tygodnia, i okresami, przelotnie, sprawiać wrażenie osoby głuchej lub niemej. Moje życie toczy się na «dietetycznym wózku inwalidzkim», co pozwala mi utrzymywać głowę w stanie względnej normalności, a nieliczne lekarstwa pomagają mi widzieć różnicę między mną i wszechogarniającym niepokojem, mną i chaosem nastrojów, mną i nieustającym nieuporządkowa-niem. Dumnie stwierdzam, że jestem w stanie zrobić sobie filizankę herbaty i zastanowiwszy się dwie sekundy, wypić ją”.

Książkę wydaną przez fundację Synapsis kupiłam w specjalistycznej księgarni. Nie wiem, czy jest dostępna wszędzie, a powinna być — dla wszystkich ciekawych, jak tam jest po stronie „zamkniętych”, pozornie nieobecnych. Co do mnie, to po lekturze tej książki mam w głowie jedno pytanie: gdzie jesteś, dziewczynko z kamieniem?

26 listopada 2005 r.

Wystawa

„Przeźren i Człowiek” — tylko te dwa słowa napisane dużymi literami mogłam przeczytać bez trudu w niebieskim świetle sali. Pochyliłam się nad ilustrowaną broszurę, w której znajdował się opis zgromadzonych dzieł. „Przedmiot jako forma Skończona i Użyteczna jest zaprzeczeniem Nieujarzmionej przestrzeni, którą formuje jedynie Imperium Światła. Przedmiot Odużyteczniony, wprowadzony na Płaszczyznę przestrzeni, urasta do wymiaru Sacrum. Patrząc na Biologiczną Codzienność, doznajemy nagłego skurczu wzruszenia”...

Zmęczona niebieskim światłem, podniosłam oczy znad broszury. Przedemną pośrodku pustej sali stał sedes. Przepraszam — Sedes. Okrażam Sedes już po raz piąty.

Według instrukcji z broszury powinnam już dawno doznać „skurczu wzruszenia”... i nic. Przepraszam — Nic. Wielkie, puste Nic. A przecież skoro Sedes tu stoi, skoro objechał już kawał świata i — jak wynika z broszury — teraz jedzie do Japonii, skoro poświęcono mu tyle słów pisanych wielką literą, na pewno coś z niego emanuje, coś, czego ja nie jestem w stanie zrozumieć. Ale dlaczego! Kiedy wyrzuciło mnie na bok z Głównego Toru, po którym z szybkością współczesnego świata pędzi pociąg pełen nadwrażliwców? A może w ogóle nigdy nie miałam biletu na ten pociąg? Może sentymentalna

13

natura Jedynaczki z Dobrego Domu eliminuje mnie ze świata neurotyków? Dlaczego

Nic nie czuję na widok Sedesu! Mato tego — jakaś siła odwraca moją uwagę w stronę drzwi przedzielających wystawowe sale.

Stoi tam drobna starsza kobieta w granatowym, służbowym kostiumie. Jak rozumiem, pilnuje dzieł sztuki przed złodziejami. Męczy mnie głupia myśl, że Sedes Ukradzony, pozbawiony Imperium Światła, tam na ulicy stanie się muszlą klozetową. Kiedy wybije Godzina Szósta i kobieta w granatowym kostiumie pogasi światła, tu, w pustej sali, Sedes nie będzie miał żadnej wartości, ponieważ jest Sedesem tylko wtedy, kiedy w „Nie-ujarzmionej Przestrzeni” stoi człowiek i przeżywa Sedes jako Sacrum, bądź tak jak ja wstydzi się tego, że Nic nie przeżywa. Bez świadków Sedes staje się sedesem w odróżnieniu od takiej, na przykład (Boże, co za banał), Mony Lizy, która w nocy, kiedy śpi jeszcze Imperium Światła, uśmiecha się równie tajemniczo jak za dnia.

Zrezygnowałam wreszcie z nadziei na spazm rozkoszy związany z Sedesem i ruszyłam w stronę następnej sali. Kobieta w służbowym kostiumie gestem ręki zaprosiła mnie do środka. Miała siwe, starannie ułożone włosy, poczciwą twarz i plaketkę z nazwiskiem — Bronisława Chmura. Korzystając ze smugi światła przy wejściu, przeczytałam z broszury opis eksponatów: „Nieobliczalna Dyktatura Kolorów i Wszechobecnego Rytmu sprowadza nasze zmysły do roli statysty. Świat nas prześcignął. Wygrał. Jesteśmy tylko pokornymi Sługami”.

Bronisława Chmura z ciepłym uśmiechem wskazała ręką obszerną salę. Zabłyśło rubinowe światło i po chwili zmieniło się w cytrynowe, a podłoga zadrżała od pulsującej muzyki. W obłędzie kolorów zaczynałam nagle

14

dostrzegać jakieś formy — fragmenty ciała wykręconego w erotycznym spazmie. A ja znowu Nic nie czułam. Może tylko wszechogarniający Ból Głowy. Stałam pośrodku zrozpaczona własną niemocą i nagle w niebieskiej smudze światła zobaczyłam Bronisławę Chmurę.

Starsza miła pani, która na ćwierć etatu pilnuje bełkotu wyobraźni. „Świat nas prześcignął. Jesteśmy tylko pokornymi Sługami” — przeczytałam jeszcze raz w broszurze i patrząc na Bronisławę Chmurę, doznałam nagłego skurczu wzruszenia.

Nareszcie! Niedługo wystawa „Przestrzeń i Człowiek” jedzie do Japonii, jak rozumiem — Bronisława Chmura Też.

4 listopada 2000 r.

Smak pomarańczy

— Dlaczego się pani tak uśmiecha? — pytanie dziennikarki naprawdę mnie zaskoczyło. Trzymając w ręku album Chrisa Niedenthala Polska Rzeczpospolita Ludowa: Rekwizyty, udzielam wywiadu na promocji tego zbioru rewelacyjnych fotografii.

Stoimy na tle mojego ulubionego zdjęcia: dziki ttum przed sklepem ze słodyczami. Ludzie przerzucają się butelkami, a na to wszystko patrzy z cokołu Matka Boska z Dzieckiem na ręku. Wygląda jak jedna z „uprzywilejowanych”, które mogłyby dostać towar poza kolejką. Zabawne to, interesujące i bardzo fotogeniczne. Czy dlatego się uśmiecham?

Polowanie zaczynało się zwykle znienacka. O tym, że na horyzoncie pojawia się coś godnego uwagi, świadczyły tylko ulotne znaki, jakby zmiana wiatru na ulicy... Z siatkami buraków i kiszzonej kapusty, mijając wystawy z nagimi manekinami, szli przechodnie w kuszach marynarkach, kobiety o włosach farbowanych wodą utlenioną. Wystarczyło drobne zachwianie rytmu: ktoś przyspieszył kroku, dwie kobiety szepnęły coś do siebie, jakaś ciężarówka podjechała cicho pod magazyn sklepu. Jakim cudem w ciągu kilku minut sklep oblepiał rój podniecony nadzieją na

zdobyc? Telepatyczna plotka wyciągała ludzi z domów z narkotyczną siłą.

16

Na klatkach schodowych fruwało wszechobecne pytanie: — Co dają? Wołowe z kością? Kalosze? Czajniczki z gwizdkiem? Majtki bawełniane? A może... pomarańcze? Pomarańczowe pomarańcze. Słoneczny kolor luksusu. I od razu cały łańcuch skojarzeń: zagranica. Kawiarenki z parasolami. Języki obce, którymi ludzie mówią tylko prawdę. Ludzie pachnący kolorowymi mydlami. Ludzie, których otaczają kolory. Wszystkie odcienie. Radość wyboru. To zamykało się w słowie „pomarańcze”. Po małe, niedopomarańczowe pomarańcze raz na kilka miesięcy pakowane do szarych toreb po pół kilo na osobę jechały tramwajami całe rodziny. Apetyt na pomarańcze wzrastał się w miarę czekania. Z nosem spłaszczonym na szybie, przygniecenii masą ciał ludzie wpatrywali się w czeluść pustego sklepu. Od czasu do czasu pojawiała się tam kobieta w białym fartuchu, coś majstrowała pod ladą, przy półkach i znikwała na zapleczu. Przylepieni do szyb jak muchy obserwowaliśmy każdy ruch tej kobiety. Przyciągnąć jej wzrok! Skierować uwagę na siebie! Przeciągnąć przez szybę intymną nić porozumienia, która pozwoli kobiecie dokonać wyboru i przemycić pod ladą drugie pół kilo! Zwłaszcza że już ze wszystkich rogów ulicy nadciągają rzesze „uprzywilejowanych”. Staruszkowie o kulach, z orderami w klapie i zastępy kobiet ciężarnych. Na ich widok tłum wydaje groźny pomruk. Rodzi się podejrzliwość. Czy te kule nie pożyczone? Tłum zwiera się niebezpiecznie. Gdzie się pan pcha! Kaleka się znalazł! Który stopień kalectwa? Pokazać panu moje papiery? Co robisz, człowieku! Kulą mnie uderzył! Nogę mi pani złamie! Pani na pewno v ciąży? Weź te łapy! To nie brzuch, to poduszka! Słabo

13

mi! Kobieta podchodzi do drzwi. Tłum milknie. Zbiera siły na szturm.

— Wie pani, dlaczego się uśmiecham, kiedy patrzę na te fotografie? Nie, nie dlatego, że „nie było tak źle”.

Uśmiecham się dlatego, że niedawno, stojąc przy straganie zapełnionym owocami, obracałam w rękę dorodną, złotą kulę. A potem ją odłożyłam.

Po prostu okazało się po latach, że bardzo nie lubię pomarańczy.

PS Niedawno szłam parkiem. Na ławce leżał człowiek kompletnie pijany.

Najwyraźniej wypadł z gry. Chyba bezpowrotnie. Na mój widok uniósł się i zawołał:

— Przepraszam, czy to pani skończyła z komunizmem? — Ja — odpowiedziałam krótko.

Podnosił się z ławki długo, w końcu wstał i elegancko zgięty w ukłonie powiedział:

— Bardzo pani dziękuję.

24 lipca 2004 r.

-

Gdybyśmy tylko umieli

— Wybraliśmy kierunek odwrotny — powiedziała pani K., kładąc walizkę na lotniskowy wózek. Większą, tę z całym życiem w środku, jej mąż położył już wcześniej.

— Wszyscy stąd wyjeżdżają, a my przyjechaliliśmy — powiedziała pani K., śmiejąc się jak z najlepszego dowcipu. Mieszkali w Stanach trzydzieści lat, myśleli, że tam jest ich miejsce, niczego im nie brakowało. A jednak.

— Przyroda, proszę pani. Przyroda własnego kraju to jest coś więcej niż wspomnienia z dzieciństwa. Tam, gdzie się urodziłeś, tam jest twoja przyroda. I żeby nie wiem co, las polski to nie jest to samo co kanadyjski — pan K. wyjął chusteczkę, przetarł załzawione oczy i wręczył mi w prezencie piękny album o

cudach świata, czyli o miejscach niezwykłych.

— Tylko my właśnie nie umiemy jakoś tej naszej przyrody zareklamować, o to chodzi — dodał jeszcze.

Ponieważ państwo K. gościli mnie przez jakiś czas w Stanach, ponieważ dzięki nim mogłam zobaczyć kosmiczną przyrodę drugiej półkuli, mając okazję się im odwdziaczyć, natychmiast zaproponowałam wspólną wycieczkę do niepowtarzalnego polskiego lasu.

Nie ukrywam, że mój entuzjazm osłabł, kiedy okazało się, że państwo K. są gotowi zobaczyć las następnego dnia o czwartej rano, ale trudno. Tak właśnie znalazłam

19
się u progu lasu o szarej godzinie, kiedy jeszcze polskie mgły tańczą nad polskimi bagnami, a polskie korzenie drzew stapiają się z polskim leśnym poszyciem.

Pan K. szeptał: — Gdybyśmy potrafili dostrzec nasze lasy tak, jak odkrywcy dostrzegli inne cuda świata, tak jak wielka jest tajemnica np. Wyspy Wielkanocnej, gdybyśmy mogli zrozumieć wielkość i tajemniczość Lasu Polskiego. Powietrze było ciężkie od mgieł, a jego polski zapach można określić jako swojego rodzaju cierpkość czy raczej kwasotę. Coś kwaśnego unosiło się w powietrzu, które już na skraju lasu wdychali państwo K. Głęboko, z namaszczeniem, jak opary świętego napoju. W skupionym milczeniu wstąpiliśmy na polską leśną ściółkę, która chrzęściła cichutko pod naszymi polskimi stopami.

— A co to tam... tak błyszczą... — wyszeptała pani K., wpatrując się w leśne poszycie. Zaciekawieni podeszliśmy bliżej. To błyszczało kilka butelek po naszej polskiej wódce, rozsianych gdzieśgdzie na ściółce leśnej. Ledwo napotkaliśmy butelki, a tu już obok nas coś zaszumiało, zaszeleściło. To był nasz polski papier toaletowy, którego cienkie pasemka zwinięte w harmonijki bądź kłębuszki wystawały spod niemal każdego korzenia. Była to jednak zaledwie namiastka — już po paru krokach odkryliśmy niezwykły pagórek. Formować się musiał przez całe miesiące z ceniუსieńkich strzępków podartych rachunków, kolorowych pisemek, papierowych toreb i resztek jedzenia.

To stąd prawdopodobnie unosił się ów kwaśny zapach, który wyczuliśmy już na skraju lasu. A może zresztą pochodził od maleńkich kolorowych kawałeczków pizzy, które przycupnęły gdzieśgdzie wśród korzeni...

20

Zaczęło się przejaśniać. Teraz pod konarami drzew widać już było całe kolonie butelek i papierów, a nawet pojedynczych skarpetek. W oddali coraz wyraźniej rysowały się kontury rzeczy domowego użytku, które wygrzewały się w słońcu bezpieczne, chronione przez liście drzew...

Ale jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, nie przeczuwaliśmy... Oto idąc ostrożnie po błyszczących kawałkach szkła, dostrzegliśmy nieokreślony kształt — to coś intrygowało bielą, która odcinała się od zielonych liści i trawy. I już po chwili naszym oczom ukazał się przewrócony bokiem, otwarty na nas przyżółconą muszlą, stary pękaty sedes. Jeden z najpiękniejszych okazów, jakie można podziwiać w dziedzinie sztuki sanitariatów. Wracaliśmy do miasta w milczeniu. W domu otworzyłam album Cuda świata.

Najbardziej fascynujące na Wyspie Wielkanocnej są olbrzymie posągi. Według miejscowej legendy posągi te same przyszły i osiadły w trawach nad brzegiem Pacyfiku. W języku mieszkańców istnieje czasownik oznaczający przesuwanie się centymetr po centymetrze bez użycia nóg...

3 lipca 2006r.

A

Pierwsze piętro

Nie wiem, czy tam byłam. Po prostu nie umiem odpowiedzieć na pytanie, czy byłam w Londynie.

Rok 1987. Lotnisko. Z ulgą odnotowuję, że celnik nie kazał mi otwierać walizki, która była naładowana falbankami, gorsetami i dziewiętnastowiecznymi sukniami. Miałam wprawdzie przy sobie zaświadczenie, że jadę na występy do POSK-u (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny), ale nie bardzo wiedziałam, jak po angielsku powiedzieć Śluby panieńskie, gdyby celnik pytał o szczegóły. Bo jechałam tam zagrać Anielę w Ślubach panieńskich zrobionych dla tamtejszej Polonii. Na trzy dni.

Po wyjściu z lotniska jak zwykle zimne hale parkingowe. Kto nie przeżył przejścia granicy dwóch rzeczywistości, czyli z komuny do tzw. Zachodu, nie może zrozumieć, czym są te hale, te podziemne drogi — ślimaki, którymi wjeżdża się na górę, czyli TAM. Ulice mijały jak szybko przerzucane pocztówki, kolorowi ludzie w kolorowych ubraniach na tle kolorowych reklam — targowisko, muzyka, wszystko to, co nowe, co inne, chłonełam zza szyby i tak stanęłam przed drzwiami POSK-u. Przywitał mnie stary polski portier, krępy mężczyzna z kartoflanym nosem.

Skłonił głowę i wziął ode mnie walizkę — była ciężka, więc się zawahałam, lecz w od-

22

powiedzi usłyszałam zaciągające: „Ale co pani... gdzież ja bym pozwolił kobiecie walizkę dźwigać”.

Idąc do garderoby, przechodziłam obok portretów pięknych przedwojennych kobiet i mężczyzn z orderami na piersiach. Na ścianach szable, listy, ordery. Portier otworzył drzwi garderoby. Na moim stoliku rozłożono biały ryżowy puder pachnący płatkami róży, srebrną szczotkę do włosów, różową szminkę i łąpkę zajęczą. Prawdziwą zajęczą łąpkę, którą kiedyś aktorzy rozprowadzali puder na twarzy. Kiedy oglądałam te przedmioty, do garderoby weszła kobieta. Była zjawiskiem, którego nie da się z niczym porównać. Zapach, który wniosła ze sobą, był tak zmysłowy, że nawet mnie zakreśliło się w głowie. Była w niej jakaś nieskazitelnosc — wszystko, co miała na sobie, od butów po kapelusz, każdy gest, każde słowo były czymś w rodzaju dzieła sztuki pt. Kobieta. Patrzyła na mnie spod długich sztucznych rzęs trochę chłodno, jak Jadwiga Smosarska, gwiazda przedwojennego filmu. Potem mi wyjaśniła, że leżące przede mną kosmetyki obowiązują i nie należy używać innych. — Różową szminką namaluje sobie pani kółka na policzkach i rozetrze je pani łagodnie.

— Kółka?

— Tak. Widzę, że nie zna pani zasad makijażu.

I przez długie godziny uczyła mnie iluzji scenicznej kobiecości. Starego jak teatr uwodzenia ze sceny. Podbijania serc finansjery. Dyskretnego pokazywania kostek u nóg. Chłodu, który rozpala. Nie wiem, ile czasu minęło, kiedy portier powiedział, że obiad czeka. Weszliśmy na piętro, gdzie zapachniało duszoną cielęciną i dymem papierosów. Wszyscy mężczyźni wstali. Byli wysocy, wyprostowani, przystojni. Przysunęli nam krzesła i zaczęli

23

dyskretnie uwodzić. Starłam się przyjmować komplementy tak jak kobieta, która przyszła ze mną. Jak w filmach przedwojennych. Zza dymu z papierosa. Spod rzęs, z uśmiechem bogini. Pan siedzący obok mnie mówił cichym, głębokim głosem mężczyzny, który się nie spieszy. Tu w ogóle nikt się nie spieszył. Wszyscy

mieli skończone co najmniej 90 lat. Polscy lotnicy, aktorki przedwojenne, członkowie polskiego rządu w Londynie. W tle słychać było muzykę Szopena. Podnieśli kieliszki wina — za Polskę!

Spędziłam z nimi trzy dni. Potem znalazłam się na lotnisku. No więc — czy byłam kiedyś w Londynie?

6 sierpnia 2005 r.

Morto

— temat dnia

Plan był dokładny. Położyłam książkę na brzegu stolika, tam gdzie miała usiąść dziennikarka. Nie przewidziałam tylko jednego — że w pośpiechu potrąci książkę biodrem, a ta rozsypie się po podłodze. Jak mogłam zapomnieć, że ten mały tomik wierszy, wydany własnymi siłami, jest tak kruchy jak sama poetka — dziewczyna na wózku, którą poznałam w niewielkim mieście. Wręczyła mi cienką książeczkę z kaktusem na okładce. Kaktusa namalowała jej przyjaciółka, która zaczęła mnie na ulicy.

— Niech pani to przeczyta. Są naprawdę piękne — powiedziała. — Tak bym chciała, żeby o wierszach Marty ktoś się dowiedział.

— Oczywiście. Z przyjemnością przeczytam — powiedziałam, biorąc książkę do ręki.

— I zobaczymy, co się da zrobić.

— To ja zapiszę pani nasz telefon — „malarka kaktusów” wyrwała mi tomik z rąk i zapisała numer.

— No i zabazgrałaś książkę — dziewczyna na wózku popatrzyła z niesmakiem na przyjaciółkę.

— Nie szkodzi. Mam drugą — otworzyła torebkę, z której wystawało kilkanaście takich tomików. — Noszę wszystkie przy sobie. Nie chcą ich w księgarni, to

25

same sprzedajemy. — Kobieta wręczyła mi drugi egzemplarz, a kiedy chciałam zapłacić, odmówiła.

— Jeżeli pani komuś pokaże wiersze Marty, to będzie najlepsza zapłata. To zresztą takie amatorskie wydanie. Aż głupio.

— Nawet nie wszystkie kartki rozcięte — Marta machnęła ręką i obie artystki zniknęły za rogiem ulicy.

Wracając pociągiem do Warszawy, otworzyłam tomik wierszy. Bałam się trochę. Zawsze mam tremę, kiedy muszę przeczytać wiersze ludzi, których poznałam osobiście. Czuję się tak, jakbym ich podglądała. Poza tym nie znoszę tego odruchu oceny, który zaczyna działać, kiedy czyta się coś nowego. Dobre czy złe? Pała czy celujący? A w wierszach Marty było przecież tak, jak bywa każdego dnia — w długim ciągu banałów nagłe olśnienia — przyływ czystej poezji, niespodziewane słowo--obraz, które oddaje istotę rzeczy. Lekturę przerwał mi telefon.

— Czy zgodzi się pani na wywiad? — ten głos poznałby każdy przeciętny telewiz.

— Jestem dziennikarką z...

— Tak, oczywiście. Poznają. Dobrze. Spotkajmy się w kawiarni i omówimy sobie tę rozmowę.

— A może pani dzisiaj? — wiedziałam, że jeżeli odłożę to spotkanie na później, wiersze Marty ścisną inne książki na półce, a ja zapomnę o nich jak o mijających dniach.

Teraz w kawiarni mały tomik leżał na podłodze rozdzielony z okładką. Nie rozcięte kartki odkleiły się grupkami, a ja i dziennikarka, klęcząc na podłodze, starałyśmy się jak najszybciej zrobić z nimi porządek. Sytuacja była idealna:

— Strasznie panią przepraszam. To są wiersze tej Marty W. Pani może słyszała. Miałam szczęście spotkać ją niedawno w tym jej miasteczku. Sama wydała swoją książkę. Trudno z nią złapać kontakt. Ukrywa się przed dziennikarzami.

Chwyciło.

— Talent? Miasteczko? Sama wydała? Można pożyczyć tę książkę? Ma pani do niej numer telefonu?

Wszystko potoczyło się tak szybko! Studio telewizyjne, puder na nos, światła, książka Marty na stole, jej nieśmiałe odpowiedzi...

— Tak. Piszę od dziecka. — Dlaczego? To bardzo trudno wytłumaczyć... — Tak. Wypadek. Sześć. Sześć lat miałam. — Tak. Sama wydałam. To znaczy z przyjaciółką. Ona namalowała tego kaktusa na okładkę. Ona w ogóle bardzo ładnie... — Tak. Z renty. Można wydać. Jak się bardzo chce, to wszystko można.

— Ja też dziękuję. Do widzenia. Kamera stop. Koniec nagrania.

— Dlaczego pani jest taka smutna? Bardzo dobrze poszło. I ta puenta, że wszystko można, jak się tylko chce — dziennikarka uściskała nas obie i oddała Marcie jej książkę. Dziewczyna wzięła ją i patrząc na mnie, otworzyła tomik. Kartki książki były nie rozcięte.

16 lutego 2002 r.

Nostalgia

„A ja w tych naszych nowych czasach niczego dobrego nie widzę. I może pani mnie uważać za konfidentkę czy za co pani tam chce, ale ja czuję nostalgię za tymi czasami, co były. Mnie wtedy było dobrze” — to jest cytat z listu od pani Broni. Zebrało się trochę takiej korespondencji i może trzeba jednak odpisać, zadeklarować się jakoś niezależnie od tego, czy temat jest na czasie, czy nie. Pani Bronia pisze: „Teraz mam 55 lat i żadnej radości z życia. I powiem pani, że ja bym chciała, żeby tamte czasy wróciły. Pani pewnie nie czuje takiej nostalgii...”.

Ja nie czuję nostalgii? Pani Broniu. Nie pozostaje mi nic innego, jak opowiedzieć pani o Nowym.

Nowy przyszedł do klasy w środku roku. Miał ciemne włosy i zielone oczy, jedno z żółtą plamką. Od razu zapisał się do chóru. Ja też. Nauczyciel śpiewu nie był z tego zadowolony, bo chór przygotowywał właśnie pieśni na obchody rocznicy rewolucji październikowej i jemu jakoś nie pasowało to, że ja strasznie chcę śpiewać na tej akademii. Nie należałam do ZMS-u i z takiej rodziny byłam raczej mało pokornej. Przyjął mnie jednak, bo śpiewałam sopranem, a chór miał braki w pierwszym głosie. Byłam naprawdę szczęśliwa ze względu na to, że sopran stały w pierwszym rzędzie, czyli najbliższej solisty, a solistą był właśnie Nowy.

Śpiewaliśmy między in-

28

nymi pieśń „Płynie, płynie Oka jak Wisła szeroka...”, co z rewolucją październikową niewiele miało wspólnego oprócz tego, że pieśnią tą demonstrowaliśmy więź emocjonalną ze Związkiem Radzieckim. Ustawiono mnie obok Kwiatkowskiej z drugiej klasy — naszym zadaniem było oddanie spokojnego biegu dwóch zaprzyjaźnionych rzek za pomocą wysokich tonów naszych dziewczęcych głosów. Ponieważ stałam blisko Nowego, więc szczególnie zależało mi na tym, żeby mój głos wyróżniał się jako najpiękniejszy z sopranów. Śpiewałam głośno, ambitnie, w natchnieniu. Nauczyciel śpiewu jednak co chwila przerywał dyrygowanie. Najpierw wznosił ręce do góry, pozwalał nam oddać się porywającej melodii pieśni „Płynie, płynie Oka...”, nagle czerwieniał, zaciskał ręce, wołał: „Stop!”, i rozbieganym

wzrokiem polował na kogoś, kto jego zdaniem fałszował. Wreszcie zapadł wyrok. To ja. I to specjalnie. Żeby ośmieszyć akademię. Ja nie mam szczególnie wybitnego słuchu, ale wiedziałam, kto fałszuje. Fałszowała Kwiatkowska. Jednak co miałam zrobić? Przecież nie mogłam wsypać koleżanki, więc czerwona ze wstydu, ze łzami w oczach wystąpiłam z szeregu, przeszłam obok Nowego, który patrzył tępo w ścianę, i wyszłam z sali gimnastycznej.

Tego dnia Nowy czekał na mnie przed bramą. Zapytał, czy może mnie odprowadzić do domu. Po drodze wyznał, że jest mu bardzo głupio, że się za mną nie wstawił, ale zależy mu na chórze, że oczywiście wie, że Kwiatkowska fałszuje, ale jako Nowy nie czuje się jeszcze pewnie w układach szkolnych. Potem doszliśmy do bramy mojego domu. Chcieliśmy się rozstać, ale nie mogliśmy ruszyć z miejsca. Nie patrząc na siebie, rozglądaliśmy się dookoła, szukając ratunku przed rodzą-

29
cym się uczuciem. Pamiętam do dziś ciepło jego szarego swetra. Pamiętam to przyciąganie silniejsze od strachu. Pamiętam jego błyszczące zielone oczy, jedno z żółtą plamką, i jego gorące, spierzchnięte usta. Nasz pocałunek był odkryciem w dziejach ludzkości. Z pewnością nikt przedtem ani potem nie wpadł na to, że zbliżenie dwojga ludzi może dać taką przyjemność. Potem codzienne milczące powroty do domu, pocałunki przed bramą, pierwsza prawdziwa wiosna, telefony, milczenie w słuchawkę, poczucie mocy, jakie daje miłość, ten uśmiech wewnętrzny, ta codzienna radość życia... i pomyśleć, pani Broniu, i pomyśleć, że tego wszystkiego by nie było, gdyby nie Rewolucja Październikowa...

/ października 2005 r.

tobuz

Nie ma lepszego medium, lepszej gazety, telewizji, dokumentu, fabuły niż ulica. To, co się tam zdarza w ciągu dnia, jest często wypadkową klimatu społecznego, politycznego, gospodarczego całego kraju. Każde drobne zdarzenie może być przypowieścią. Na przykład to, którego byłam świadkiem niedawno, każe się zastanawiać nad granicami zła — jak ono może być postrzegane w środowiskach, w których panują indywidualne normy społeczne, własna moralność. Wydawałoby się na przykład, że są dzieci grzeczne i niegrzeczne — tak już jest. Są dzieci, które potrafią korzystać z przykładu rodziców, i takie, które nigdy się nie nauczą postępować według ich wskazówek.

— Jak mogłeś! Jak mogłeś! — mężczyzna trząsł tym chłopcem tak mocno, że małemu zsunął się z nogi but z poszarpanym sznurowadłem. Prawdopodobnie but rozwiązał się już w czasie ucieczki, kiedy chłopak biegł przez ulicę, roztrącając przechodniów. Może zresztą stało się to w czasie szarpaniny z grupką ludzi, którym udało się go złapać. Do ostatniej chwili nie dawał za wygraną, do ostatniej chwili próbował wyrwać się z rąk swoich sędziów, którzy zziębni gonił, czerwoni z wysiłku osaczyli go jak na polowaniu. Poszło o dwadzieścia złotych, które chłopak zwinął ze sklepowej lady.

33

— Jak zawodowy złodziej — szeptała mi do ucha kobieta, która była świadkiem zdarzenia, a teraz odłączyła się od grupki pościgowej.

— Leżało, proszę pani, dwadzieścia złotych na ladzie. On, proszę pani, wziął sobie z półki gazetę i położył na tę ladę. A trzymał w ręku coś ciężkiego, jakies pudło chyba, i nagle upuścił to pudło, że niby mu spadło, i to z hukiem, no i przez ten huk wszyscy spojrzeli na dół, a on wtedy przykrył te dwadzieścia złotych gazetą, jak nikt nie widział, i myk myk, schował do kieszeni, a potem nagle jakby mu się odwidziało kupowanie gazety, poszedł szybko do drzwi, ale mąż

stał przy drzwiach akurat i od razu go chwycił, bo mąż oko ma na takich, ale chłopak wyszarpnął mu się, no tośmy się wszyscy rzucili go gonić. Ale pani patrzy, jakie to sprytne, jak on to sobie wymyślił z tą gazetą, jak jakiś iluzjonista w cyrku co najmniej.

Widziałam tę gonitwę. Chłopiec był drobny i bardzo zwinny, ale nie miał szans — ludzie, którzy go gonili, biegli z taką determinacją, jakby chodziło o dorobek życia. Wymierzanie sprawiedliwości najwyraźniej uskrzydla. Kiedy go wreszcie złapali, kiedy chłopak już wiedział, że się nie wymknie, przerażony, że czeka go samosąd, zaczął krzyczeć w kierunku mężczyzny, który stał na placu przed niewielką galerią.

— Tato! Tato!

— To twój ojciec? — pytali sędziowie. — No to niech się dowie, jakiego ma synka — i po chwili chłopak został doprowadzony do ojca, który patrzył na tę scenę purpurowy ze wstydu.

— Pana syn jest złodziejem — oznajmił ktoś z grupki.

34

— Mój syn nie jest złodziejem — odpowiedział mężczyzna, patrząc na chłopca z odcieniem pogardy.

— Otóż jest, proszę pana, chciał ukraść dwadzieścia złotych.

— A ukradł?

— Nie. Nie udało mu się.

— Jak nie ukradł, to nie jest złodziejem — odpowiedział mężczyzna i odszedł z synem w stronę parku. Szli obok siebie, nie mówiąc nic, a ja za nimi, bo właśnie przez park było mi po drodze. Kiedy zatrzymaliśmy się na pasach, ojciec wreszcie się odezwał.

— No i co? Jak się teraz czujesz?

Chłopak milczał boleśnie zawstydzony. — Przepraszam — mruknął.

— Jak mogłeś? — ciągnął ojciec. — Ja tego nie rozumiem. Jak mogłeś? — wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. To był ten rodzaj zdenerwowania, który nie wróżył nic dobrego. „To jest początek”, pomyślałam, i słusznie, bo kiedy tylko weszliśmy do parku, mężczyzna chwycił chłopaka za kłapy kurtki i trząśł nim, powtarzając w kółko:

— Jak mogłeś! Jak mogłeś... Ty ofiario! Jak mogłeś dać się złapać!

5 czerwca 2006 r.

Osiem liter

Patrzyłam na Gosię i Kasię i myślałam, że gdyby ktoś zrobił zdjęcie tym dwóm dziewczynom, które siedziały u mnie na kanapie, mógłby dać je na dobrą wystawę. Oczywiście gdyby wyczuł całą dramaturgię, gdyby wydobył z nich to, co świadczy, że ich sytuacja jest w jakimś sensie znakiem czasu.

Należałoby je sfotografować, jak siedzą schylone nad katalogiem biura podróży, stykając się kolanami. Tytuł zdjęcia: „Gosia i Kasia”. I może jeszcze data. Rok 2006. Daty pod zdjęciami i wierszami są równie ważne jak samo dzieło.

Zdjęcie powinno być kolorowe, żeby widać było różowy kolor sweterka Gosi, jej czerwoną szminkę, rude włosy i szary golf Kasi, czarno-szarą spódnicę i czarne buty. Fotograf powinien raczej skupić się na fakturze materiałów, wydobyć ze światła gruby splot sweterka Gosi, szorstkość taniej wełny, a jednocześnie piękną strukturę cery tej dziewczyny i zdrowie, które widać w oczach błyszczących i odżywionych mocnym snem. Trzeba by koniecznie wydobyć światłem jej duże, mocne dłonie, tak kontrastujące z dłońmi Kasi z jej długimi palcami i paznokciami jak drogie perły. No i koniecznie podkreślić światłem miękkość i

klasę wełny, z której zrobiony jest golf Kasi. Błyszczącą skórę butów — całą tę markową

36

szarość, która tak pięknie podkreśla jej depresję. Fotograf nie może też pominąć nóg. Grube, mocne nogi Gosi oparte na podłodze, równo odstawione od siebie (jej matka zawsze tak siadała, kiedy ubijała masło) i szczuplutkie łydki Kasi, z których jedna oplata drugą tak, że wyglądają jak dwie wtulone w siebie istoty. A może zrezygnować z kolorów, tylko w czerniach i szarościach pokazać dwie sylwetki? Jedna jak zwiędły tulipan, druga jak zdrowe młode drzewo siedzą skupione nad katalogiem biura podróży. Ale jak pokazać to, że one się w ogóle nie znają? Nie widziały się nigdy przedtem.

Kilka dni wcześniej zadzwoniła do mnie mama Kasi. Depresja córki jest strasznym przeżyciem dla matki. Ukochana, wypieszczona jedynaczka, zdolna, inteligentna, wrażliwa — ulubienica profesorów na filozofii — nie można na to patrzeć, jak ona teraz leży całymi dniami nakryta kołdrą. Powód jest prosty — po skończonych studiach Kasia nie może się odnaleźć. Próbowwała szukać pracy, ale... Co, ma stanąć pośrodku Warszawy i wołać: „Halo! Ja chcę pracować!”.

Ogłoszenia w prasie są jakieś podejrzane — skąd wiadomo, co to za firma właściwie, czy oni tam nie piorą pieniędzy, poza tym była już w kilku miejscach, ci, z którymi rozmawiała, to jacyś wymóżdzeni ludzie, no po prostu niemożliwe, żeby ona takim kawę nosiła. Rodzice po długich przegadanych nocach zdecydowali: Kasia powinna wyjechać na jakąś dobrą wycieczkę po świecie, zmienić klimat, krajobraz, otoczenie. I właśnie stąd ten telefon — czy nie znam jakiegoś dobrego biura podróży. Zadzwoniłam do znajomej, powiedziała mi, że po prostu przyśle do mnie dziewczynę z katalogami. Gosię. Dobrze. Umówiłam się z nią i z Kasią.

37

Gosia przyszła pierwsza. Poprosiła o herbatę: — Jeśli pani ma kubek, to w kubku. Bo zawsze piję z kubka, takie przyzwyczajenie z domu.

Gosia urodziła się na wsi w Grzybieniu. Różnie było — czasem tylko chleb i cebula, rodzice zrobili gospodarstwo agroturystyczne, jednak nie bardzo to szło. Ale jakoś tam się żyło. Marzeniem była... Warszawa! To słowo zawsze wywoływało dreszcz emocji. Warszawa! Kluby z rozgadaną młodzieżą, teatry, kina, wielkie firmy! Warszawa to pole walki. Wspaniały teren łowny. Więc Gosia przyjechała do Warszawy.

Różnie bywało. Sprzątanie, praca w magazynie, a za to mieszkanie z dwiema koleżankami, potem praca w sklepie, a z tego kurs jeden, drugi, potem praca w recepcji, w szpitalu, no i teraz w tym biurze podróży, ale zaraz przenosi się do banku na dobre stanowisko. Ale to nie koniec — jak się ustawi, chce studiować zaocznie filozofię. — U mnie w firmie — mówi — najwięcej jest przyjezdnych. Warszawa — osiem liter. Jakie słowo znaleźć dla Kasi? Co mogłoby ją ożywić? Sprawić, że się odnajdzie? A może... Grzybień?

10 kwietnia 2006 r.

Małe szkoły

To nie będzie żadne opowiadanie ani inny twór wyobraźni. Po prostu los sprawił, że przy jakiejś kameralno-uroczystej okazji rocznicowej zetknęłam się z ludźmi, którzy zajmują się programem „Mała Szkoła”. Chodzi o szkoły wiejskie współtworzone przez społeczność wsi — takie, jakich wiele jest we Francji czy na przykład w Holandii, gdzie to zjawisko jest traktowane ze szczególną pieczołowitością. Ponieważ rozmowa z tymi ludźmi wskazywała na prawdziwe i

głębokie zainteresowanie tym tematem, pomyślałam, że może rzeczywiście temat małych szkół wiejskich jest ważniejszy, niż się wydaje z pozycji stolicy, że przecież Polska dzieje się głównie tam, gdzie drogowskazy kierują w głąb, daleko od głównych dróg, i może trzeba wiedzieć, że taki temat jak szkoła wiejska jest jednym z kluczowych — choć pozornie nieatrakcyjnych — tematów w naszym społeczeństwie. Otóż 1 września we wsi Strzyżewo w gminie Zbąszyń 48 uczniów i ich rodzice zgromadzili się we wsi, a nie w zbąszynskiej szkole, w proteście przeciw zamknięciu ich szkoły lokalnej, stworzonej własnymi siłami na podstawie programu „Mała Szkoła” przy Federacji Inicjatyw Oświatowych. Dla mieszkańców Strzyżewa zamknięcie tej szkoły nie wiąże się tylko z utrudnieniem życia związanym z komunikacją i odległością od szkoły.

39

Szkota we wsi jest czymś znacznie więcej niż budynkiem, gdzie dzieci spędzają wiele godzin. „Mała Szkota” to program uwzględniający przede wszystkim wkład rodziców we wszystkie przejawy funkcjonowania tego miejsca — od budowy po szukanie nauczycieli. Szkota jest więc ośrodkiem pobudzającym aktywność, świadomość wspólnoty, jest miejscem spotkań, miejscem, gdzie mogą się narodzić najróżniejsze inicjatywy. Może być też miejscem konfliktów, słomianych ogni, złych decyzji i niczym się to nie różni od najlepszych snobistycznych szkół prywatnych w dużych miastach.

Pytanie tylko, czy rzeczywiście coś takiego jak mała edukacja — swojska, bliska rodzinie — jest lepsze od szkoły zbiorczej, gdzie dzieci jednak mogą łączyć się w klasy na swoim poziomie wieku, gdzie nauczycielka nie chodzi od ławki do ławki, w której siedmiolatek siedzi z dziesięciolatkiem — jeden uczy się czytać, a drugi przerabia ułamki. Przekonuje mnie jednak argument twórców programu „Mała Szkoła” — dzieci wiejskie puszczane są zwykle samopas i wielokrotnie zdarza się, że dziecko idące do pierwszej klasy nie miało w ręku ołówka i właściwie ledwo mówi. Sama widziałam takie dzieci. Siłą rzeczy więc, idąc do szkoły zbiorczej oddalonej od domu, jest w swojej klasie na tyle zapóźnione, że nauczyciel i tak boryka się z różnicą poziomów w poszczególnych ławkach.

Program „Mała Szkoła” podoba mi się z jednego zasadniczego powodu: pracują tu ludzie, którzy wychodzą z założenia, że do rozwoju potrzebne są małe kroki zrobione z głową — że np. lepiej podjąć się szukania dobrych nauczycieli wiejskich, środków finansowych na małą szkołę itp., niż z góry założyć, że to niemożliwe,

40

i iść starymi drogami po starych wybojach. Absolutnie przekonuje mnie argument, że szkołą na wsi — a szczególnie szkołą powstałą z udziałem rodziców — jest ośrodkiem rozwoju całej społeczności. Z moich rozmów wynika, że od 1999 roku zamknięto 3,5 tys. małych szkół — w ten sposób ich mieszkańcom zostały msze niedzielne i telewizor jako przejawy życia poza pracą na roli albo wyprowadzka. Na przykład we wsi Wapnica trzy rodziny wyprowadziły się już do miasta, gdzie ich dzieci chodzą do szkoły zbiorczej. Piszę to dlatego, że być może dyskusje na ten temat są znacznie bardziej potrzebne niż najpiękniejsze przemówienia o przyszłości kraju. Może nie chodzi o przyszłość, tylko o teraźniejszość. Być może jest mnóstwo argumentów przeciw „Małej Szkole”. No to się kłóćmy. Ja jestem za.

17 września 2005 r.

Kochani rodzice Sławka

Dziękuję za list. Ktopot w tym, że przyszedł on pod niewłaściwy adres. Bardzo

niewłaściwy. Już w pierwszych słowach określacie mnie jako osobę, „która was zrozumie”. Waszą tragedię, wasze upokorzenie, wasz wstyd. Z jakiegoś powodu wydaje wam się, że właśnie ja pomogę odpowiedzieć na pytanie, gdzie i kiedy zrobiliście błąd. Wasze małżeństwo rozpada się z dnia na dzień — patrzycie na siebie wzajemnie jak sędziowie śledczy na podejrzanego. Może matka była zaborcza? Może go rozpieszczała? Może ojciec był za słaby? Może to przez kłótnie o byle co? Może czuł się samotny wśród starszych braci? Ale przede wszystkim z waszego listu przebija żal — jak on mógł nam to zrobić! Nasz syn! Co zrobił? Po latach męki wydukał wreszcie, że jest gejem.

Jedyne, co mogę zrobić, to opowiedzieć wam historię innego chłopca. Urodził się w małym miasteczku jako najmłodszy z trzech braci, tak jak Sławek właśnie. Rodzice szczęśliwi, że mają trzech synów, chętnie wypuszczali chłopców na boisko i patrzyli, z jaką energią kopią piłkę. Najwięcej zapału wykazywał najmłodszy. Walił w piłkę nogą, jakby to był jakiś wróg, śmigał od rogu do rogu boiska trochę jak przyspieszona kreskówka, ani na chwilę nie ustawał, skakał po trawie jak na

42

trampolinie. Dopiero potem, czytając jego urywany pamiętnik, dowiedzieli się, jak strasznie bał się piłki. Przed każdą taką grą budził się wiele godzin wcześniej i z bijącym sercem patrzył w sufit. Marzył tylko o rym, żeby spadła na niego wielka wisząca lampa.

Był szkolnym klaunem. Uwielbiano go za wieczne żarty, drwiny, za parodiowanie nauczycieli — najchętniej przebierał się za matematyczkę, pożyczał buty od koleżanek i kołysał biodrami. Nikt nie zastanowił się nad tym, że te wygłupy to paniczna ucieczka przed samym sobą. Że w jego klaunadzie nie ma nic wesołego. Że to nerwowość podszyta strachem.

Pewnego dnia do szkoły przyszedł nowy nauczyciel rysunków. Opowiadał o tym, czym jest malarstwo, a chłopiec słuchał go jak nigdy dotąd nikogo. Potem nauczyciel powiedział, żeby każdy w domu narysował to, co chce, to, co przyjdzie mu na myśl jako pierwsze skojarzenie. Chłopiec wziął ołówek i narysował oczy nauczyciela rysunków. Zawstydział się tego rysunku i zamienił oczy na dwie ryby. Ale oczy nauczyciela nie dawały mu spokoju. Budził się i zasypiał z tymi oczami.

Lekcje rysunków odbywały się co tydzień, ale chłopiec codziennie musiał zobaczyć nauczyciela, więc wystawał przed pokojem nauczycielskim pod byle jakim pretekstem. W dniu pogrzebu dziadka była akurat lekcja rysunków. Chłopiec na myśl o tym, że nie będzie mógł pójść do szkoły, dostał gorączki, wymiotował, wreszcie po prostu uciekł z pogrzebu. W ogóle stał się niespokojny, nieznośny, potajemnie kupił sobie nawet sznur i ćwiczył robienie pętli. Wszędzie rysował oczy nauczyciela rysunków. Gdyby rysował oczy koleżanki z klasy, wszystko byłoby jasne, a nawet rozczulające. Każdego kiedyś

43

dopada pierwsza miłość, ale może być i tak, że zakochany nie wie, że jest zakochany. Odczuwa tylko potworny niepokój, a w tym niepokoju — samotność. I, niestety, pewnego dnia on, piłkarz, klasowy klaun zrobił użytek z pętli.

Od tego jest rodzina — żeby dostrzegła niepokój. Nie, nie chcę sobie wyobrazić waszej tragedii, waszego upokorzenia i wstydu. Jedyne, co próbuję sobie wyobrazić, to to, co on przeżywał. I tylko nad tym powinniście się zastanawiać moim zdaniem. I nie mówcie stale „mój syn”, „nasze dziecko”. Sławek jest osobną istotą ze swoimi osobnymi rozterkami i miłościami. Bywa też pewnie szczęśliwy. I postanowił się tym podzielić z rodziną. Bo widocznie uznał, że jesteście mu

potrzebni. Gratuluję z całego serca.
3 września 2005 r.

Do Ministra Edukacji

Proszę o cofnięcie mi tytułu magistra sztuki nadanego w wyniku ukończenia studiów w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie z wynikiem bardzo dobrym. Po zweryfikowaniu swojej wiedzy stwierdzam, że tytuł został mi nadany pochopnie bądź w wyniku zamieszania. Z tych samych względów proszę o weryfikację mojego świadectwa maturalnego i poddanie mnie egzaminowi zgodnemu z najnowszymi normami opierającymi się prawdopodobnie na postępie wiedzy, która w okresie mojej matury była niepełna, a nawet być może błędna. W imię uczciwości gotowa jestem zasiąść od nowa w ławkach szkolnych i zdobywać wiedzę na miarę współczesnych wymagań.

Proszę swoją motywuję tym, że przypadkowe zetknięcie się z książkowym opracowaniem lektury szkolnej pt. Hamlet uświadomiło mi, że przestałam czytać ze zrozumieniem, co dyskwalifikuje mnie jako przedstawiciela grupy społecznej z wykształceniem wyższym i stwarza warunki prawne do poddania weryfikacji wielu dokumentów, w których w odpowiednim okienku postawiłam krzyżyk pod określeniem „wykształcenie wyższe”.

Wszystko zaczęło się od natrętnej myśli, która dopadła mnie na środku ulicy. Jak właściwie kończy się monolog Hamleta? Sprawa była o tyle pilna, że od dość dawna
45

borykam się z problemem ewentualnego wycofania się ze wszystkiego, z czego jeszcze można się wycofać, i „nie-bycia”, czyli, jak żyć cicho i niezauważenie. Ja oczywiście wiem, że Hamlet stawia sprawę o wiele ostrzej i jego „nie być” oznacza samobójstwo, ale przecież samobójstwo ma wiele wymiarów. „Umrzeć... zasnąć” nie musi oznaczać ustania akcji serca, tylko uspienie apetytów, niepokojów, ambicji.

Musiałam to sprawdzić natychmiast, więc weszłam do najbliższej księgarni i spytałam: — Czy jest Hamlet? — Jest. Z opracowaniem? — zł, bez opracowania 17. Oczywiście poprosiłam o wydanie z opracowaniem i z poczuciem zrobienia złotego interesu wyszłam z księgarni. Natychmiast otworzyłam książkę «Hamlet» z opracowaniem. Lektura i zaczęłam studiować napisy w szarych ramkach, które, jak rozumiem, mają przybliżyć młodemu czytelnikowi istotę dramatu Szekspira. I tak na przykład obok słów: „Prawda! Jakże srodze bicz twych wyrazów chłoscze mi sumienie”, w szarej ramce jest napisane: „Wyrzuty sumienia”.

Kiedy Hamlet w oryginale mówi do matki: „Tak żyć w barłogu kazirodczego łoża, gnić w sprośności, z śmietnika rozkosz chłęptać” — w ramce po prawej stronie uczeń czyta: „Hamlet krytycznie o Gertrudzie”. Krytycznie. No pewnie. Ładniej to, kulturalniej. Bez jakichś tam śmietników i chłęptania rozkoszy. Takie rzeczy to ma uczeń w telewizji i w domu. A w szkole zachowujemy jednak pewne normy. Nie mogłam się doczekać, kiedy dojdę do „Być albo nie być” i do szarej ramki, która wyjaśni mi, o co właściwie tu chodzi. I doszłam. W ramce było napisane: „Rozważania nad etycznymi konsekwencjami zemsty”.

46

Przeczytałam monolog raz. Potem jeszcze raz. Od dołu. Po kawałku. I nigdzie, w żadnym wersie nie mogłam się dopatrzeć rozważań nad etycznymi konsekwencjami zemsty. Wyraźnie czytałam w myślach człowieka, którego niepokój doszedł do granicy, za którą jest tylko pytanie, czy nie przerwać życia. Ale gdzie pewność, że skończenie własnej historii zakończy własny niepokój? Co jest za tą granicą?

Może właśnie tylko niepokój? Ja to tak czytam. Czy prawidłowo? Mam nadzieję, że moje odczytanie nie jest jedynym możliwym. A już na pewno nie chciałabym, żeby właśnie ono było zawarte w szarej ramce jako obowiązujące. Sztuka jest jedyną dziedziną, której nie trzeba czytać ze zrozumieniem. Biedne dzieciaki ze skrzywionymi kręgosłupami, nie czytajcie Hamleta ze zrozumieniem. Im mniej rozumiecie z Hamleta, tym lepiej. On też nie mógł zrozumieć ani innych, ani siebie. On też się nudził i męczył ze swoją niewiedzą. Jemu też siadła inteligencja emocjonalna.

Z drugiej strony — jak nie zrozumiecie, to was obleją. Może więc lepiej trzymać się szarych ramek bez względu na to, co tam wypisują ludzie, którzy też muszą z czegoś żyć? Sama nie wiem. No właśnie. I to jest istota monologu Hamleta. A jak on się kończy? Wejściem Ofelii, którą Hamlet doprowadza do samobójstwa. Dlaczego? Niepokój? Spadek serotoniny? Wampiryczna osobowość?

Drodzy autorzy szarych ramek! Nie musicie czytać Hamleta ze zrozumieniem, ale przynajmniej wejdźcie w położenie tego, kto was czyta. W końcu nie każdego stać na Hamleta bez opracowania. Jedyne, co z tego wszystkiego wiem na pewno, to to, dlaczego z opracowaniem jest taniej.

22 stycznia 2005 r.

Przesralnia

Osoby o słabym sercu nie powinny tego czytać. Upokorzenie, jakiego doznała dwunastoletnia Kasia w swoim krótkim życiu artystki, jest rzeczywiście potworne. W zasadzie nie znam nikogo, kto w swoim życiorysie artystycznym mógłby zapisać coś tak strasznego. Ja też wpadłam w osłupienie, kiedy przeczytałam jej list. Pytasz, co robić. Jak się w tym znaleźć. Gdzie się podziać. Pojęcia nie mam. Naprawdę. Mogę tylko opisać twoją historię, żeby znalazła się wśród najbardziej traumatycznych przeżyć, jakie mogą spotkać naturę twórczą. Zanim jednak zacznę tę straszną opowieść, pozwól, Kasiu, że odniosę się do zwrotu „u cioci na imieninach”, który w tej historii ma wielkie znaczenie. Kasia używa go w znaczeniu czegoś najgorszego dla niespokojnej natury, czegoś, co pachnie domowym ciepłkiem, ciasteczkami, głaskaniem po główkach i wierszykami bratanicy odczytywanymi po deserze. Ja też tak rozumiałam to określenie, dopóki nie spotkałam kolegi, który zabrał mnie ze sobą do cioci na imieniny. Ze względu na to, że Kasia ma dwanaście lat, nie opowiem, co tam się działo. W każdym razie od tego dnia określenie „u cioci na imieninach” jest dla mnie synonimem zupełnie czegoś innego. A teraz do rzeczy.

48

Kasia dobrze rysuje i w związku z tym zapisała się do szkoły na zajęcia plastyczne. Już na pierwszej lekcji chciała wyjść z sali, kiedy nauczycielka kazała mówić do siebie „ciociu” i wyciągnęła pudełko ciasteczek. Chowała ostrzyżoną głowę w swój obszerny czarny sweter, kiedy Ciocia opiewała piękno przyrody i prześliczne listki na krzaczkach. Tłukła głową o blat stołu, kiedy Ciocia kazała rysować „dzbanuszki”. Odwracała się do klasy, demonstrując odruch wymiotny, kiedy Ciocia pokazywała swoje własne prace ukazujące las zimą i serię bukietów polnych. Zajęcia nazwała „przesralnia”. Chciała założyć tajne koło zwalczania Cioci. Buntowała kolegów, proponując, żeby oddawali Cioci po prostu puste kartki na znak sprzeciwu. Niestety, była jedynym członkiem koła, bo koledzy jakoś nie mieli ochoty na zwalczanie przesralni — apatycznie patrzyli na jej samotną walkę. Nie chodziła na polecane przez Ciocię wystawy. Tracić czas na badziewie produkowane przez oficjalny świat, do którego idzie się razem z warszawką? Do świata sztuki wchodzi się tylnymi drzwiami. Przez stare fabryki i

nie ogrzane magazyny. Tam się dzieje. Jedyne, co ją trzymało przy życiu, to zemsta na Cioci. Zemsta, która powstawała na sztalugach od dnia, kiedy Ciocia poprosiła o namalowanie „czegoś, w czym widzimy prawdziwe piękno”. Całymi nocami darła w strzępki papier toaletowy, smarując go brązową farbą. Przestrzeń płótna wypełniły kawałki poprzylepianego papieru z grudkami brązowej farby różnej grubości i kształtu. Niosła swój obraz przez całą klasę i rzuciła go na stół obok posłusznych prac swoich kolegów. I w końcu nastąpił ten straszny moment. Ciocia przyniosła ocenione prace. Obraz Kasi leżał na samym spodzie. Kiedy Ciocia już rozdała wszystkie kwiaty

49

i pejzaże, zrobiła długą pauzę. Kasia, żując gumę, schowała głowę w szalik. Ciocia była czerwona na twarzy, a w oczach miała łzy. Podniosła karton i w milczeniu pokazała klasie papier toaletowy umazany w brązowej farbie. Wstrzymano oddech. I wtedy nastąpił ten straszny moment. Ciocia powiedziała:

— Zobaczcie, jaką nasza Kasia ma wspaniałą wyobraźnię. To cudowne. Szóstka.

27 listopada 2004 r.

Mały człowiek

do wielkich interesów

Pozornie nie ma nic szczególnego w tym, że zostałam nagle sam na sam z małym chłopcem o nadzwyczaj inteligentnej twarzy. Nie powinnam odczuwać takiego napięcia ani wykręcać sobie palców pod stołem. Prostą sprawą powinno być dla mnie przerwanie tej ciszy, która wytworzyła się między nami od chwili, kiedy rodzice chłopca wyszli do kuchni.

Swoją drogą każde inne dziecko zajęłoby się w takiej sytuacji swoimi sprawami, a ten odwrotnie. Wyprostował się na krześle, po chwili założył okulary i z niezmaconym spokojem przyglądał mi się, marszcząc lekko czoło.

Oczywiście jako osoba dorosła powinnam zadać mu jakieś pytanie z gatunku: kim chciałbyś zostać w przyszłości? jakie gry lubisz najbardziej? jakiej drużynie kibicujesz? — ale żadne z tych pytań nie pasowało mi do niego. Prawdę mówiąc, czułam, że się takim pytaniem skompromituję. Milczenie jednak narastało, a ja czułam się coraz gorzej, głowa mi pustoszała z minuty na minutę i nie było w niej nawet okruszka pomysłu na rozpoczęcie rozmowy. Chłopiec siedział wyprostowany jak struna i kiedy miałam już pewność, że ta sytuacja będzie trwała wiecznie, nagle powiedział:

— Niech pani zada mi jakieś pytanie.

51

Zrobiło mi się gorąco. Dziecko wyczytało mi z oczu treść mojej męki. Z całym dziecięcym sadyzmem postanowiło mnie dobić.

— Ale jakie pytanie chciałbyś usłyszeć? — starałam się mówić do niego z nutą wyższości i politowania, upokarzająco słodko, tak, żeby dać do zrozumienia, że ja jestem tu w pokoju panią sytuacji.

— Wszystko jedno. Z jakiegokolwiek dziedziny — chłopak wstał nagle, podszedł do półki z książkami, wyjął tom encyklopedii od A do ? i położył przede mną.

— Może być stąd — powiedział, wrócił na miejsce, a ja otworzyłam wielką księgę na stronie A.

— No! — ponaglił mnie chłopiec. Miał takie wypieki, jakby nagle skoczyło mu ciśnienie. Mój wzrok padł na hasło „Aisza”.

— Kto to była Aisza i w którym...

— 614-678 — przerwał mi natychmiast. — Jedna z żon proroka Mahometa, córka Abu Bakra, należała do opozycji wobec kalifa Alego Ibn Abi Taliba. Dalej! — krzyknął

nagle.

Szybko zajrzałam do książki.

— Co to jest Ajka?

— Miasto w zachodnich Węgrzech w komitacie Vesz-prem na zachodnich stokach Lasu Bakońskiego — wystrzelił jak z karabinu. — Dalej!

— Co to są...

— Ajmarowie! — krzyknął chłopiec. — Indianie Ameryki Południowej zamieszkujący Peru, Boliwię...

— Ale ja ci przecież jeszcze nie zadałam pytania...

— Patrzy pani na hasło pod Ajką. A tam są Ajmarowie. Dalej! — krzyknął, ale wtedy weszli rodzice z kolacją.

52

— Jest dopiero przy ? — powiedział smutno ojciec. — Szybko brata nie dogoni.

Do pokoju wszedł drugi chłopiec. Jak się okazuje — trzecie miejsce w eliminacjach do telewizyjnego konkursu. Padł przy bylinach. Powiedział, że to wieloletnia roślina zielna, a chodziło o rosyjskie ludowe pieśni epickie o tematyce bohaterskiej. Dwa hasła dalej. Teraz się poprawi. Jest już przy D. Konkretnie przy hasle „Dzieciństwo”.

26 czerwca 2004 r.

Dziecko nie zapomina

Idąc tam w ciepły letni wieczór, czułam się jak kapłanka. Było coś mistycznego w tym spotkaniu. Nareszcie miało się odbyć przedstawienie wybitnego reżysera, który latami studiuje możliwości sceny, aż w końcu — widząc niedoskonałość materii — macha ręką i wyjeżdża za granicę na wykłady o teatrze. Jego sztuki są zwykle adaptacjami literatury najwyższej próby, a on zdaje się w ogóle nie dostrzegać tego, że na jego przedstawieniach zaledwie kilka osób rozumie całe bogactwo symboli. On stoi za kulisami i zagryza się najdrobniejszym fałszem czy niedostatecznym blaskiem łyżeczki od herbaty.

Po drodze do teatru próbowałam zachęcić grupkę znajomych młodych ludzi, ale jakoś nie mieli ochoty na przeżywanie misterium w ten piękny letni dzień. Nie namawiałam. Wciąganie siłą na drogę wyższych przeżyć nie daje nic. Wszystko ma swój czas, do wszystkiego trzeba dojrzeć po swojemu. Znam parę osób, które w obawie przed inwazją mediów rzuciły się panicznie i bezkrytycznie w stronę sztuki wysokiej. „A w panice, wiadomo — myślałam, zbliżając się do grupki widzów stojących przed teatrem — można postradać zmysły”. Wśród tych, którzy spacerowali przed teatrem, zobaczyłam parę z sześciolatnim chłopcem.

54

— Czy nie za mały? — zapytałam, usiłując sobie przypomnieć, skąd znam tych ludzi.

— Nie! — odpowiedzieli z ożywieniem. — My wszędzie z nim chodzimy! Dziecko nie zapomina! — No tak. Już wiedziałam, skąd znam tę parę. Zapamiętałam ich na wystawie, która była projekcją filmu zrobionego w miejskiej łaźni. Wstrząsające zdjęcia trupiobladych starczych ciał i przelewających się grubasów — kolejna próba przełamania bariery poznania. Ale ja nie mogłam oderwać oczu od chłopca prowadzonego przez rodziców od jednego ekranu do drugiego. Czerwony z emocji i wstydu chichotał nerwowo, patrząc na trzęsące się pośladki starców. Rodzice zagadnięci przez jakiegoś gościa wystawy bronili się tak samo jak teraz — dziecko trzeba pobudzać intelektualnie! Sztuka to świat przeżyć, a nie śliczna zabawka! Niech zobaczy, że ciało jest dziełem sztuki w każdym przejawie. Sztuka to ból, cierpienie... im wcześniej to odkryje, tym... — wyszłam z sali, nie mogąc patrzeć na piekło emocjonalne, które rodziło się w dziecku.

— Mamo, ja chcę pić! — zawołał chłopiec na placu przed teatrem. Rodzice zaprowadzili go do bufetu, ja razem z innymi poszłam na salę, gdzie w niewielkim kręgu ustawiono trochę krzeseł. Kiedy gasły światła, tuż przede mną bezszelestnie usiadła też para z synkiem. W niewielki, świetlisty krąg weszła młoda aktorka. Była piękna i utalentowana. Z tajemniczym uśmiechem, w skupieniu przeradzającym się w lekki trans, mówiła słowa tekstu, którego inspiracja pochodziła z najgłębszych źródeł filozofii. Potem w krąg światła wszedł aktor i oboje zduszonym szeptem odbywali dialog symboliczny, wyrafi-

55

nowany. Widzowie pochylili się do przodu, nadstawiając chciwie ucha, i wtedy usłyszałam ciche:

— Mamo, ja chcę siusiu...

Matka ścisnęła chłopca za rękę, wbijając mu paznokcie w skórę. W gęstej ciszy misterium każdy szept, każdy gest był grzechem śmiertelnym. Chłopiec ścisnął kolana, a na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Czekala go godzina przerażającej męki. Kiedyś przyzna rodzicom rację — sztuka to cierpienie. Pewnych przeżyć się nie zapomina.

Nagle dziecko wstało i w bladym świetle misterium na tle szeptu aktorów usłyszeliśmy coś jakby strumyczek...

Kobieta poderwała się z miejsca i w panice rzuciła do wyjścia, ciągnąc za sobą przerażone dziecko. A przecież ciało jest dziełem sztuki w każdym przejawie. A pewnych przeżyć dziecko nie zapomina, zwłaszcza kiedy jest pobudzone intelektualnie.

11 sierpnia 2001 r.

Piesek

Posłuchajcie mrożącej krew w żyłach historii. Posłuchajcie historii z pieskiem w tle. Posłuchajcie historii o pysze ukaranej.

— Męża, proszę pani, trzeba trzymać krótko — teraz sobie przypominam, że kiedy ta kobieta mówiła to do mnie, tamten piesek już chyba był na rogu ulicy. Chyba już wtedy go widziałam kątem oka i być może dlatego niezbyt dokładnie pamiętam, co właściwie miała na myśli tamta pani. Jamniki są bardzo szczególną rasą — można je lubić, można je uważać za „niby-pieski”, ale moim zdaniem są strasznie śmieszne przez to, że wszelkie emocje idą przez ich tułów partiami: najpierw rusza się głowa, potem środek, a na końcu cały tył razem z ogonem. Bywa zresztą, że tylko tył reaguje na coś, co mu się podoba, a reszta zajmuje się czymś innym, na przykład wachaniem murów — jak w tym właśnie wypadku. Zdecydowanie więc wolałam przyglądać się pieskowi, niż słuchać wywodów tej pani, ponieważ to, co mówiła na temat trzymania krótko mężów, dotyczyło właśnie jej męża, który siedział obok z miną, jaką można porównać do jajka na twardo. Nie umiem jasno wytłumaczyć, na czym taka mina polega, ale gdyby ktoś kazał mi zagrać jajko na twardo, właśnie tak starałabym

59

się wyglądać. Nawiasem mówiąc, jajka na miękko nie umiałabym pokazać, ale to nie należy do tematu.

Ten pan w każdym razie czuł się chyba trochę głupio, ponieważ jego żona postanowiła zrobić wykład na temat wierności małżeńskiej, a za audytorium obrała sobie wszystkich siedzących przy stolikach ulicznej kawiarni. Tak. Ten piesek już wtedy szedł ulicą — tego jestem teraz pewna. Widziałam go, kiedy ta kobieta mówiła coś o tym, że nie ma już mężczyzn, że są do niczego, że na wymarcu — trzymała męża za kolano zresztą, nie wiedzieć czemu — i że mimo wszystko trzeba

ich krótko trzymać, bo to głupie i pójdzie za każdą. A kiedy mówiła: „Ja tam już 25 lat jestem mężatką i wiem, jak chłopa przytrzymać” — to ten piesek właśnie podniósł nogę przy drzewie naprzeciwko kawiarni. Dzieliła nas tylko jezdnia — pamiętam, że wtedy już zwróciłam uwagę na właścicielkę psa, ponieważ była ubrana w moją sukienkę, to znaczy w taką samą, jaką ja miałam na sobie, czego żadna kobieta nie lubi, w związku z tym nie lubiłam tej pani od pierwszego wejrzenia, przyglądałam się jej jednak ze względów porównawczych. Musiałam przyznać, że ma świetną figurę, a moja sukienka podkreśla znakomicie wszystko, co ta pani ma najlepszego, a co miałam za złe mojej sukience naturalnie.

Piesek szedł na dość długiej smyczy, nie zwracając uwagi na przechodniów, natomiast właścicielka psa jakoś dziwnie zareagowała na widok naszych stolików, tak to przynajmniej dzisiaj pamiętam. Spojrzała w stronę kawiarni, natychmiast odwróciła głowę i szarpnęła pieska. Za mocno. Jamniki też mają swoją dumę. Więc ten się zaparł w sobie i przystanął. Nie wiem, czy teraz tak mi się zdaje, czy naprawdę widziałam, jak mąż tej

60

pani skulił się na krześle, ale na pewno pamiętam, jak wydłużył się najpierw łeb jamnika, potem rozkołysał się środek tułowia, a na końcu tył z ogonem. I wtedy stało się coś strasznego. W psa wstąpiła jakaś potworna energia. Napiął się w sobie, wydłużył, zaparł i wyrwał się ze smyczy. Ku przerażeniu wszystkich wpadł na jezdnię pełną samochodów, ale przeleciał jak strzała i wpadł między nasze stoliki, przewracając niejedną szklankę. I co? Jaki był jego cel? Otóż celem jego były kolana męża tej pani, tego pana z miną jajka na twardo — teraz już raczej na miękko, ponieważ mężczyzna spocił się z przerażenia. Piesek natomiast skakał po nim, lizał po twarzy, opierał maleńkie łapy na jego piersi — jak to pieski, które witają się z kimś, kto jest im szczególnie bliski.

— Co on wyprawia? On cię zna? — zapytała zdziwiona żona.

— Nie wiem — odpowiedział, próbując strząsnąć jamnika, który uwiesił mu się na szyi.

A zaraz potem kobieta w mojej sukience dobiegła do pieska z krzykiem: — Oszalałeś?!

A potem siłą oderwała go od piersi mężczyzny i szybko, patrząc przed siebie, odeszła w głąb ulicy. Piesek zapierał się nogami i płakał, patrząc w stronę mężczyzny, który — jak sądzę — w tym momencie pomyślał, że nie każdy pies jest przyjacielem człowieka.

19 czerwca 2006 r.

Sztuka ujadania

Moje psy Rudka i Bary rozmiłowały się w ujadaniu do tego stopnia, że od dłuższego czasu sąsiedzi uśmiechają się do mnie jakby rzadziej. Ja nie jestem w stanie im współczuć, ponieważ psy ujadają tylko wtedy, kiedy mnie nie ma, a nawet, nieskromnie mówiąc, pewnie z tego powodu. Jednak co pasja, to pasja — po jakimś czasie moja obecność przestała im przeszkadzać i koncertują niezależnie od mojej obecności, dlatego mam okazję przyjrzeć się temu rytuałowi. Otóż dotąd myślałam, że ich zachowanie dyktuje powołanie do sztuki chóralnej, „siedzą i wyją, proszę pani, że oka nie można zmrzyć”. Myślałam więc, że wycie moich psów to próby dwugłosu, jakiejś tęsknej pieśni za okrutną panią utraconą na zawsze. A jednak nie.

Któregoś dnia, kiedy siedziałam za biurkiem, Rudka (mała, zwinna, nieobliczalna) popędziła w najdalszy kąt mieszkania, gdzie zaczęła sobie cichutko śpiewać, wyciągając mordkę do przodu. Kiedy tylko Bary (wzrostu średniego cielaka, maść

myszki) to usłyszał, podniósł uszy i zaczął wyć. Widząc to, Rudka schowała się jeszcze głębiej i nuciła sobie cichutko. Zrozumiałam, że jej powołaniem jest raczej solistyka. Bary jednak nie chciał tego uszanować — ze swojego miejsca i swoim basem nucił swoją melodię — kiedy jednak Rudka milkła, on też,

62

a przecież Bary jest psem wyjątkowo łagodnym i nie śni mu się żadna złośliwość. Po kilku chwilach ciszy Rudka spod swojego fotela znowu coś tam sobie zaczęła podśpiewywać, niestety, Bary nie wytrzymał siły impulsu i nie tylko zaczął śpiewać, ale przysunął się do Rudki — położył się naprzeciwko i dosyć śmiało snuł swoją melodię, na co mała zareagowała podniesieniem głosu i koloraturą. Bary wtedy podniósł się do pozycji siedzącej i wykonał coś w rodzaju czarnego bluesa, ale po kilku taktach Rudka zaniósła się jakąś dramatyczną operową arią, Bary zagłuszył ją szczekaniem w rodzaju rapu, kołysząc się nawet stosownie, na co Rudka, wspiąwszy się na dwie łapy, wykonała arię Toski. Całe widowisko razem ze słuchowiskiem było dość fascynujące, ale nie dla kogoś, kto chce pracować albo przynajmniej zorientować się, czego te psy chcą — oczywiście miska jedzenia rozwiązała wszystko. Psy moje mają bardzo różne gusta kulinarne, więc szybko zorientowałam się, że podkładając jednemu jego miskę, zamykam mu za przeproszeniem mordę. Powtarzałam czynność naprzemiennie, czyli każdy ujadał solo. Jednak często musiałam wychodzić i wtedy sąsiedzi mieli do wyboru: albo się dołączyć do wycia, albo mnie poprosić, żebym na jakiś czas psy oddała na wieś, którą znam i gdzie jest im naprawdę jak w raju. No cóż. Tak robiłam, ale mimo stałych kontaktów z nimi jest mi dość ciężko i smutno, choć cicho. Dla odprężenia włączam telewizor, na przykład debaty polityczne, i... co widzę? Co słyszę? Ależ to moja Rudka i Bary w krawatach. Moje psy! Ujadanie! Sztuka walki w dwugłosie! To one przebrane za ludzi tam siedzą i snują równolegle swoje melodie, nie zwracając uwagi na sąsiadów i gospodynię! Ujadają cokolwiek, byle tylko

63

tamtę drugą choć na chwilę nie został solistą — co więcej, w chwilach zwątpienia nie próbują nawet przysłuchiwać się melodii drugiego, tylko panicznie szukają swojej, która mogłaby zagłuszyć przeciwnika. Jako osoba doświadczona w tym względzie mam takie podejrzenie — ujada się nie po to, żeby ujadać, tylko żeby zagłuszyć przeciwnika. Niestety, zagłuszając, ogłusza się sąsiadów, co może skończyć się izolacją, jak w wypadku opisanym powyżej. Drodzy dziennikarze — moja rada jest prosta: Miski im dać. Każda debata przy jedzeniu.

Popytać, co kto lubi, niech to przed nimi dymi i zamilkną naprzemiennie, a wtedy my, zwykli obywatele, dowiemy się w przybliżeniu, o co któremu chodzi.

Nie wiem, w jakiej rzeczywistości ten tekst pojawi się w druku, kto będzie akurat przy głosie, ale ja bym na waszym miejscu przygotowała i kaszanke, i krewetki.

18 lutego 2006 r.

Kozłatko

Droga pani S.! Tą oficjalną drogą koniecznie chcę odpisać pani, której list do mnie zawiera proste, rozpaczliwe pytanie: dlaczego ludzie nie kierują się dobrem? Kiedyś, kiedy musiałam gdzieś wyjechać, przywiozłam na pewną wieś swojego psa i od lat, mimo że psa już nie ma, przyjeżdżam tam, ale nie dlatego, że jest pięknie, spokojnie i inaczej. Przeciwnie. Jest brzydko, nerwowo i zwyczajnie. Dwoje ludzi biega po małym podwórku z drucikami do załatania siatki, ze złamaną łopata, z drabiną bez dwóch szczebli. A dotacji jak nie było, tak nie ma. A

miała być. Więc krzyczą na siebie od rana do wieczora, piją mnóstwo kawy, a potem zasypiają przy telewizorze. Przez szpary w drzwiach do ciasnych przegródek widać kilka świń, krowę i stadko kóz, które patrzą w ścianę odwrócone od wyliniałego kozła. Niedawno przyjechałam znowu, siedzimy przy oknie opatrzonym gazetami, nagle ona mówi do niego: — Idź, zobacz, czy się znów która nie okociła przypadkiem. — I do mnie: — Kozy się kocą i kocą od wczoraj. Chcesz zobaczyć małe kozłatko?

Kto by nie chciał zobaczyć małego kozłatka? Półśpiącego, przyssanego do brzucha matki, różowo-białego jak zabawka? Z radością otworzyłam stare drewniane drzwi. Jednak odór kóz ściśniętych w małej obórcie był

65

tak potworny, że przez kilka pierwszych chwil nic nie widziałam. Zanim inne zmysły przyzwyczyły się do gęstości powietrza, czułam tylko, że nie wypada mi zemdleć. Po chwili zza ściany odoru wyłoniły się zarysy kozich sylwetek.

Niektóre stały odwrócone do ściany, kilka leżało na ubłoconym sianie. Potem zobaczyłam zarys rogów samca stojącego w kącie. Patrzył tępo na swoje żony, wokół których kręciły się jakieś maleństwa. Nie były to jednak, jak myślałam, gołe, bezradne kłębuszki, tylko ukształtowane miniaturki dorosłych kóz. Nagle jedno z kozłatek odeszło od leżącej matki i pewnym krokiem podeszło do mnie.

— Ile to ma? — zapytałam, głaszcząc miniaturowy pyszczek.

— Parę godzin — powiedział gospodarz, wybierając łopatą kozie odchody.

Kozłatko liznęło mnie w rękę, wcisnęło łeb w moją dłoń. Staralam się dać mu swoim dotykiem tyle ciepła, ile oczekiwało. Koza matka podniosła łeb, ale tylko na chwilę, zaraz potem zamknęła oczy. Głaszcząc cieniutką sierść, brałam od noworodka esencję życia, energię ufności.

— Więcej nie pożyje — powiedział nagle gospodarz, odkładając łopatę. Najśłabsze. Trzeba eliminować.

W pierwszym odruchu spojrzałam na łopatę. Była wielka i ciężka — jednym ruchem mogłabym rozwalić łeb temu człowiekowi. Dopiero potem zaczęłam krzyczeć.

Wybiegłam za nim z komórki. Zastąpiłam mu drogę. Wpadłam w ramiona gospodyni.

Głaskała mnie po głowie. Trzeba eliminować. Matka nie wykarmi. Zamęczy się. Za dużo ich poza tym. Poduszają się. To nie film, to życie.

66

Moje myśli biegły jak podłączone do prądu. Prosić. Grozić. Towarzystwem. Przyjaciół. Zwierząt. Zawrócić do komórki, wyciągnąć kozłatko. Zawinąć w kocyk. Zawieźć do siebie. Do Warszawy. Płakałam, błagałam, aż gospodarze — bezradni wobec mojej rozpaczki — obiecali zatrzymać kozłatko. Wyjeżdżałam z gospodarstwa, uśmiechając się w stronę komórki, w której brykało uratowane życie. Dobrze jest być autorem szczęśliwego zakończenia. Aniołem trochę. Może więcej niż aniołem. Kierując się dobrem, uratowałam istnienie. Po kilku dniach zdecydowałam się zadzwonić: — Jak moje kozłatko?

Odpowiedź była krótka i chłodna:

— Matka padła.

19 lutego 2005 r.

Ryby czyszcicielki

W przyrodzie wszystko jest po coś. Człowiek też. Żeby to zrozumieć, trzeba oglądać filmy przyrodnicze. Podglądając najprzeróżniejsze istoty, można rozszyfrować samego siebie jako określone zjawisko przyrody. Każde stworzenie buduje wokół siebie aurę, która tworzy jego środowisko naturalne. Są takie, które zatrzymują się po drodze, stoją jakiś czas nieruchomo, a potem idą dalej.

Inne prą naprzód, nie oglądając się za siebie.

Niektóre owady, ptaki i niektórzy ludzie koncentrują się wokół własnych spraw i celów, inni żyją pozornie bez celu, a inne, jak na przykład pszczoły, ściółka leśna, Baśka i Natalia, organizują wokół swojej pracy całe instytucje, przyciągają innych, stwarzają wokół siebie nieustanny ruch. Tak już jest.

Baśka na przykład świetnie gotuje. Postanowiła robić w swojej małej kuchni „obiady na wynos”. Już po kilku tygodniach rozdzwoniły się telefony: ktoś zaproponował spółkę, ktoś się dołożył, ktoś coś wyłożył, inny wynajął lokal, ktoś się zgłosił, ktoś ogłosił i Baśka w ciągu kilku lat została właścicielką ogromnej sieci obiadów dostawczych. Przyjaciółka, która jej nienawidzi, założyła konkurencyjną firmę — i nic. Siedzi w kuchni obłożona selerami i serkami tofu. Tak już jest.

68

Na szczęście wszystko — nawet najbardziej absurdalne istnienie — jest po coś. Ja na przykład robię rzeczy, z których nic nie wynika. Widzę tylko fragment, nad którym pracuję — wkładam w to cały zapal, a kiedy skończę, przechodzę do innego zajęcia. Wokół mojej pracy nie koncentrują się ludzie, którzy zajmują się uprawą tego, co zostało zasiane. Dlaczego? Trzeba oglądać filmy przyrodnicze. Tam zawsze jest jakaś odpowiedź. Otwieram telewizor. Po srebrnym ekranie płynie wielka ryba. Po chwili podpływa do niej ławica małych rybek. Owinęły się wokół wielkiego ciała jak rój pszczół. „To ryby czyszcicielki” — głos spikera panuje nad obrazem ogromnej ryby, którą otaczają setki stworzeń drżących z emocji. Nie mogę oderwać oczu od tego zjawiska.

— Halo! Czy ty mnie jeszcze pamiętasz? — głos Baśki jest charakterystyczny. — Słuchaj... Kiedyś zrobiłaś dziwną potrawę, coś tam było zapieczone w chlebie. Możesz mi podać przepis?

— Ja nie mam żadnych przepisów. Zrobiłam to raz i już nie pamiętam.

— Żartujesz! Przecież to mogłaby być...

— Potrawa roku. Wiem. Niestety, skoncentrowałam się na tym raz i koniec. Tak jest. Cześć.

Na ekranie migocąca luna zacieśniła się wokół ryby. Z ławicy emanuje niezwykle strumień życia. „Ryby czyszcicielki” wkładają w swoją pracę jakiś szaleńczy zapal. Ale czy one...

— Halo! Cześć, mówi Natalia. Zakładam wydawnictwo, wiesz? I jakoś, odpukać, niesłychanie to się rozkręca. Pomyślałam, czy nie chciałabyś wydać felietonów? Powstałaby książka — co ty na to?

69

— Ale ja już wydałam swoje felietony. Już jest książka.

— A dlaczego ja nic o tym nie wiem? Nie miałaś żadnej reklamy?

— Nie.

— I ty się z tym godzisz?

— Myślę o napisaniu drugiej książki.

— To bez sensu...

— Tak już jest. Ale jakiś sens musi być. Przepraszam cię... oglądam film przyrodniczy. Cześć.

Błyszcząca magma wokół ryby uformowała się ostatecznie. Cała społeczność drży. Być może trwa tu walka o miejsce w hierarchii. Są zwycięstwa, klęski, załamania, sukcesy. A jednak każda czyszcicielka dostrzega tylko fragment wielkiego ciała. Jej życie spełnia się w tym fragmencie. Czy ona wie, że czyści wielką rybę? Czy te ryby wiedzą, czym są? I czy to ma jakieś znaczenie? Czy to umniejsza wartość

ich życia?

— Cześć. Podobno byłaś w moim mieście. Grałaś przedstawienie. Nie widziałam plakatu.

— Ja nie mam plakatu. Wokół mojej pracy nie koncentrują się ludzie, którzy zajmują się uprawą tego, co zasiane. Tak już jest.

— To kompletnie bezcelowe. Przecież musisz mieć jakiś cel... — w słuchawce zaległa cisza.

— Oczywiście. Wszystko jest po coś. To, co robię, chyba też. Mam nawet pewne podejrzenia. Całkiem możliwe, że czyszcze wielką rybę.

6 stycznia 2001 r.

'%

u ? ? 4 J 14 1 U i Krótka rozmowa

o wyższych

wartościach

Monolog zza ściany

„Anieli grają, króle witają... pasterze śpiewają, bydłeta klękają, cuda, cuda ogłaszają. — Co? Co tak patrzysz? Wiem, że nieczysto. Na Wigilię mogę sobie chociaż pośpiewać... Bóg się roodzi, moc truchleje... dobrze, dobrze, już skończyłam. Człowiek, cholera, w swoim własnym domu nie może robić, co chce. Choineczka się nam chociaż udała. Popatrzyłbyś. Ja to zawsze mówię, lepsza sztuczna od tych prawdziwych, przynajmniej nie najdzie igłami. Więcej sprzątanina potem niż tej radości. Co praktyczne, to praktyczne. Człowiek się nie nachodzi, nie na-dźwiga jak ten wół, wyjmie z pudełka, odczyści szmatką i spokój. Po co ludzie z tymi drzewami chodzą — a to ociosaj potem, a to czubek za długi, a to krzywo stoi, a to stojak dokup, bo zły... Myślałam, żeby gwiazdę nową kupić, ale ta jeszcze ujdzie. Drogie te gwiazdy jak diabli. Słyszysz? No i nie popatrzy nawet. Odwróci się do ściany i będzie spał. Która to godzina? Jeszcze trochę i barszczyk wstawię. Nie chce mi się telewizji oglądać, bo człowiek siądzie i zaśnie, od razu go sen zmorzy i śpi, bo na co tu patrzeć, jak to samo dają... Grzybami pachnie z dołu. Czujesz? Grzybami. Pewnie mają gołąbki własnej roboty. Mnie już się nie chce robić. Papranina z tym taka, że nie daj Boże, i zmywania więcej niż smaku. A może to z góry ten zapach, czekaj, spojrzę z okna. Nie.

73

Z dołu. Z dotu grzybami, a z góry cebulą. To do pierogów pewnie. Która to godzina... jeszcze trochę i barszczyk wstawię. O! Windę słyszać. Idą do tych spod piątki. Narodu tyle, że gdzie to pomieścić, jak oni dwa pokoje mają, to ja nie mam pojęcia. I dzieciaków się naszło, że uszy chyba pękną. O! Już piszcza. To do tej choinki, co on taką wielką taszczył po schodach, bo do windy nie weszła, i ja nawet chciałam powiedzieć: „Ale pan drzewo kupił!” — lecz idzie zły taki, że się lepiej nic nie będę odzywać. Czekaj, opłatek dam, bo mi z głowy wyszedł. Ruszysz ty się czy nie? No, już się ciemniej robi, to barszczyk wstawię. Albo jeszcze poczekam. Jezuska trzeba by wymienić w przyszłym roku, bo już stary taki, że wstyd, ale to też pewnie drogie. Ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? I śpi, i śpi, i śpi. Anieli grają, króle witają, pasterze śpiewają... O! Od razu się ruszył. Tylko ty się tak na mnie nie patrz tymi swoimi oczami i nie zacznij tutaj tych swoich wrzasków, bo ja już się wstydzę sąsiadom w oczy patrzeć. Ruszyłbyś się, posiedział przy choince, a nie... rozłożył się na kanapie królewicz i co z nim zrobisz. Obraził się. Ja też się obrażę i tak będziemy siedzieć. Lampek nie wyjęłam z pudełka, bo to prądu szkoda i zanim człowiek

rozplącze te sznury, to już umęczony, że szkoda gadać. Popatrzę na niebo, czy coś widać. Nic nie widać. Która to godzina? Cicho! Myślałam, że to spod piątki śpiewają, ale to Santor chyba. Tak. Z płyty. Piękny głos ma Santorka. A teraz to już oni śpiewają, nie... to z dołu, bo chyba wcześniej zaczęli jeść. Barszczyk wstawię. Ale pisk, słyszysz? Dzieciaki spod piątki coś dostały i skaczą. No nie ma co, za opłatek się bierzemy. No, chodźże tutaj. To ja przyjdę do ciebie. Opłatek zjedz chociaż i buzi daj. No, daj buzi. Daj buzi, cholero, no! No. Jeszcze raz.

74

I jeszcze raz. I opłatek do pyska. No i cały chapnął. Ostrzyc by cię trzeba, bo już oczu nie widać zza tych kudłów, że wstyd ze smyczą chodzić. Zobaczymy, co w telewizji dają. Barszczyk wstawię. Albo jeszcze trochę. Anieli grają, króle witają".

Sąsiadom tej pani życzę dużo, dużo miłości.

24 grudnia 2005 r.

Osoba publiczna

Marynarką dostałam niechcący. Naprawdę nie szkodzi. Chociaż bolało. Gospodyni domu rzuciła marynarkę w stronę męża, a ona spadła na mnie. Po prostu niecelnie rzucona. Nie ma sprawy. Marynarka zawisała mi na głowie, zdejmowałam ją spokojnie, choć nie było łatwo, bo materiał ciężki, czarny i zaskoczyła mnie ta ciemność. Chciałam podać marynarkę gospodarzowi domu, ale przez pokój leciała już druga marynarka, którą złapał i zakładał tył na przód, krzycząc w stronę żony: — To nie ta! Tamta była w paski! Że człowiek nie zwariował jeszcze w tym domu, to jakiś cud!

Kiedy szarpał się z marynarką, rozrywając guziki, jego żona szła ostrożnie z następną, mówiąc cicho:

— Nigdy nie miałeś marynarki w paski, kochanie.

— Ona wie, co ja mam, a czego nie mam! — wrzeszczał gospodarz, próbując wydostać się z marynarki. — Ona wszystko wie! Zawsze lepiej niż ja! Ona wie, co to są paski, co to jest kratka, ona lepiej widzi, lepiej słyszy.

Patrzyłam na tę parę, starając się nie dawać znaku życia, bo na szczęście w całym zamieszaniu zapomnieli o mojej obecności. Z tymi marynarkami w rękach, drobiąc wokół siebie, ona ostrożnie, on w opętańczej furii, wyglądali trochę jak para z flamenco. Wszystko zaczęło

76

się od telefonu. Siedzieliśmy we trójkę, spokojnie pijąc kawę, kiedy rozmowę o muzyce przerwał nam telefon. Dzwonił ktoś z telewizji, o czym zawiadomiła nas pani domu, która podniosła słuchawkę. Gospodarz zerwał się na równe nogi, chociaż potem dość spokojnie przyjął telefon i wiadomość, że proszony jest o wypowiedź przed kamerą koniecznie dzisiaj, bo emisja programu już wieczorem. Nie było w tym nic dziwnego. Gospodarz domu jest osobą publiczną, medialnym autorytetem bardzo często goszczącym na ekranie. Jego spokojny głos i wyjątkowo piękne słownictwo sprawiają, że dziennikarze często zgłaszają się właśnie do niego z prośbą o radę czy komentarz na temat zjawisk, które tak trudno zrozumieć pogubionemu społeczeństwu.

— Nie te buty! Nie te! — wielki buciur przeleciał przed moim nosem. — Ona mi daje brązowy but do czarnej marynarki! — wrzeszczał gospodarz domu niepokojąco czerwony na twarzy.

— Uspokój się, bo ciśnienie ci skoczy — szeptała żona, podając mężowi czarny but.

— A skoczy mi! Skoczy! Już mi skoczyło — gospodarz skakał na jednej nodze, usiłując wcisnąć but na nogę. — Ja w ogóle się dziwię, że jeszcze żyję! — krzyknął, zamykając się w łazience, skąd po chwili dobiegł jego przerażony głos: — Boże, jaki ja jestem czerwony! Która godzina? Która godzina, pytam! Wstałam dyskretnie, ręką tylko dając do zrozumienia gospodyni, że wychodzę. Przetawiała właśnie lampę na środek biurka, pewnie aranżując to miejsce dla kamery.

— Przepraszam — szepnęła tylko — zawsze tak jest, kiedy telewizja przychodzi.

77

Zdejmując płaszcz z wieszaka, zobaczyłam jamniczka wtulonego w kąt korytarza, tyłem do mieszkania, które wypełniał tupot nóg, trzaskanie drzwiami, przesuwanie mebli. Jeszcze na klatce schodowej słyszałam krzyki gospodarza. Wieczorem, otulona kocem, włączyłam telewizor. Na ekranie pojawił się gospodarz domu. Oświetlony domową lampą, mówił wprost do kamery.

— Z pewnym zażenowaniem patrzę na ludzi, którzy poddają się tempu narzucanemu przez współczesny świat. Ja osobiście cenię sobie spokój i wewnętrzną harmonię. Moja recepta na życie to spokój, spokój i jeszcze raz spokój.

Zgasiłam telewizor z powodu bólu głowy.

12 listopada 2005 r.

Hotellus

Jeżeli miałabym nazwać stan, w jaki wprowadza mnie to miejsce, określiłabym go jako międzyczas. Całą moją miastową gonitwę wchłania jezioro, które widzę z okna.

W jasnym pokoju tego pensjonatu spostrzegam, że moja praca nie jest lepsza ani gorsza od innej — powstaje po prostu jako drobna część wszystkiego, co będzie.

Lubię ciepłą atmosferę tych pokoi, lubię patrzeć, jak gospodarze pensjonatu pracują w ogrodzie, który wygląda jak mały raj dzięki ich pracy i pasji.

Zaczynali od zera, od działki, kredytów, nieudanych inwestycji, poprawiania błędów, a teraz miło patrzeć, jak podnoszą głowę znad jednego z klombów na wielki pensjonat w kształcie pałacu, z tarasami, wieżyczkami, leżakami, na których opalają się goście z całego świata. Niedawno tam pojechałam. Jak co roku jest coś nowego — lekka zmiana wystroju, nowa roślina w ogrodzie, nowe zasłony. Jak co roku właściciele zajęci przy rozbudowie, poprawkach. I właściwie wszystko byłoby tak samo, gdyby nie napis nad pensjonatem.

Najpierw myślałam, że źle widzę, że litery skaczą mi przed oczami, bo przecież to niemożliwe, żeby tych dwoje skromnych i normalnych ludzi dostało nagle wielkościowej manii. Ale nie mogłam dłużej się oszukiwać. Przed wejściem i na wizytówce jak byk napisane było: „Hotel-

79

lus". Dlaczego hotellus? Dlaczego tak z grecka, tak jakby z Olimpu, jak twierdza dyktatora? Patrzyłam z pewną podejrzliwością na właścicieli pensjonatu, ale nie było w nich żadnej zmiany — on nie wyglądał na człowieka, który wieczorami przebiera się np. za Nerona, a ona też nie zaczęła się nosić jak imperatorowa. Hotellus sam w sobie też się nie zmienił i widok z hotellusa był taki sam. Jaki diabeł kazał tym ludziom określić pewnego dnia ten dom jako hotellus? Myślałam długo i niepotrzebnie. I tak nigdy nie domyśliłabym się przyczyny, szukając jej w cechach osobowości właścicieli. Tak się śmiałam, kiedy właściciele opowiadali mi, co się stało, że poplamiałam kawą biały hotellusowski obrus. Otóż przepisy Unii Europejskiej w sprawie hoteli i pensjonatów są wynikiem mrówczej pracy solidnych urzędników. Określili oni pewnie nawet szerokość schodów, daszka nad wejściem, kształtu okien i wycieraczek w czymś, co zasługuje na nazwę „hotel”

bądź „pensjonat”. Nie wystarczy, że miło, że czysto, że wygodnie, że chce się tu wracać. Może być niemiło i niewygodnie, ale daszek nad drzwiami ma być określonej wielkości, inaczej hotel przestaje być hotelem i nie ma przebaczyć. No i trzeba oddać sprawiedliwość urzędnikom z Unii, że przewidzieli każdy szczegół... no, może oprócz tego, że Polak potrafi.

Drodzy urzędnicy UE, musicie brać poprawkę na Polaków, inaczej wasza podziwu godna praca pójdzie na marne. Toż tutaj omijanie przerostów prawnych ludzie mają we krwi! Toż to do podstaw egzystencji należy. Nie takie absurdy przewalczyliśmy. Musicie przyznać jako fachowcy, że zmiana z hotelu na hotellus taniej wychodzi niż piłowanie schodów, daszków i zmiana wycieraczek. Ja się bardzo boję, że zaczniecie się zabierać do

80

ustawy o nazwach, i ustalicie ściśle normy dla hotellu-sów. Nie róbcie tego. To nic nie da. Jedźcie odpocząć do jakiegoś polskiego hotellusa, zostawcie tu trochę unijnych honorariów. Kupcie sobie obszerną historię naszego kraju. Czytajcie ją bezstresowo, bo to lektura wymagająca poszerzenia wyobraźni i przełamywania stereotypów. Przywitamy was, czym chata bogata. Tutaj przez całe dziesięciolecie sklepy byty puste, a na każdym stole była szynka. Do zobaczenia. Ave, Urzędnikulus!

9 lipca 2005 r.

Krótką rozmowa

o wyższych wartościach

Mógł mieć od 30 do 50 lat — życie wymyło z niego wszelkie właściwości — gdybym wyszła, zobaczyłabym w sąsiednich przedziałach takich samych mężczyzn. Wciśnięci w służbowe marynarki, skacowani, spracowani, niedospani.

Ten człowiek wszedł do przedziału, usiadł i zamknął oczy. Na chwilę przedtem zarejestrował moją obecność i książki rozrzucone wokół mnie. Na okładce jednej z nich widoczna była fotografia ładnej kobiety z zamyślonym wyrazem twarzy i napis: „Maria Skłodowska-Curie”.

Nagle gdzieś w okolicach jego brzucha odezwał się kawałek marsza Mendelssohna. Mężczyzna zerwał się na równe nogi, trząsł marynarką, macał się po spodniach, a brzuch uparcie grał marsza. Wreszcie z zakamarka jego ubrania wyskoczyła komórka. Złapał ją w locie i natychmiast zaczął mówić:

— No, cześć. Mam piętnaście, a dwanaście to jest górka, czyli jak piętnastego będę miał sześć, to będzie pół po pół. Około pierwszej. O drugiej dwa. No to o trzeciej. Wtedy szesnaście od czwartego. Cześć.

Mężczyzna rzucił komórkę tak silnie, że broszurka o Marii Skłodowskiej-Curie spadła mi na podłogę.

— Sorry — powiedział i podniósł książkę, patrząc na fotografię.

82

— A co pani ta kobieta zrobiła, że pani o niej czyta?

— zapytał dowcipnie.

— Nic. Ja się po prostu nią interesuję.

— Pani jest z tej branży? Chemik czy coś w tym stylu?

— Nie. Ja jestem z innej branży. Czytam z ciekawości. Ale ciężko mi było czytać.

Mężczyzna patrzył na mnie,

jakby zobaczył UFO. Wodził wzrokiem po książkach i ze zdumieniem odkrywał, że wszystkie dotyczą Skłodowskiej-Curie. Wreszcie zamknął oczy. Patrzyłam na jego czoło. Pojawiały się na nim fale, kreski, linie pionowe i poziome. Najwyraźniej wrzucił do mózgu hasło „Maria Skłodowska-Curie” i czekał na połączenie. Nagle

jego twarz rozjaśniła się w szczerym uśmiechu.

— No tak! To ona podobno trochę tego była!

— Tego?

— No... romansowa kobieta — patrzył na mnie wyraźnie ożywiony. Już nie chciało mu się spać.

— I szczęście kobita miała.

— Szczęście? Panie! Jakie szczęście? — starałam się opanować. — Ona mieszkała na szóstym piętrze bez ogrzewania, codziennie dźwigała węgiel, spała pod własnymi ubraniami, żeby nie zamrznąć, przerabiała 20 kilo dziennie blendy smolistej, mieszając to własnymi rękami w radioaktywnych oparach, w dymie, w zimnie, tylko po to, żeby po latach takiej harówki wydobyć jedną milionową radu! I pan to nazywa szczęściem?

— No, nie wiem. Ja słyszałem o jakichś romansach

— mężczyzna zamknął oczy, a ja myślałam, że gdybym go tak teraz zadusiła i przesiadła się do innego przedziału, nikt by mnie nie podejrzewał.

Patrzyłam na rozrzucone książki z biografią Marii. Ze zdjęciami z młodości, kiedy jako młodziotka Polka je-

83

chata na wieś uczyć dzieci, żeby utrzymać własnego ojca. Czy mogła przewidzieć, że dzięki swojej katorżniczej pracy przy gorących kotłach smoły stanie się osobą publiczną i jej życie będzie się rządziło prawami życia sław? Że po latach skacowany idiota skojarzy ją tylko z romansem z Langevinem? Życie osób publicznych ma to do siebie, że każde zjawisko zostaje w anegdocie wielokrotnione i urasta do problemu. Osoba publiczna z kieliszkiem w ręku staje się alkoholikiem. Z pieskiem na smyczy — miłośnikiem zwierząt. Z jednym miłosnym przeżyciem — nimfomanką.

— Ona, proszę pana, była pierwszą kobietą wykładającą na Sorbonie, pierwszą kobietą, która zrobiła tam doktorat, pierwszą kobietą, która dostała Nobla, jedyną, która ma dwa Noble...

Mężczyzna zdradzał objawy znudzenia:

— A taki Nobelek. Ile to jest kasy?

— Nie wiem. Wiem tylko, że gdyby Maria i Piotr Curie opatentowali rad, byłiby niewiarygodnie bogaci.

Czoło mężczyzny znowu porało się zmarszczkami:

— A dlaczego nie opatentowali?

— Bo uważali, że ich odkrycie powinno służyć nauce. Bez ich prywatnej korzyści.

Taka była Maria Skłodowska-Curie.

Mężczyzna oparł się o fotel i długo patrzył na przeciwległą ścianę. Potem spojrzał na zdjęcie Marii i powiedział do siebie:

— No, teraz to ta babka już mnie zupełnie rozczarowała.

I zasnął.

11 grudnia 2004 r.

Cała prawda o Kopciuszku

Przypomnijmy: „Kopciuszek” to bajka o prostej dziewczynie, którą gnębi macocha i jej dwie córki. Nagle los się odmienia. Przy pomocy sił nadprzyrodzonych dziewczyna jedzie kareta na bal, spotyka królewicza i żyją długo i szczęśliwie.

O losie tamtych trzech kobiet niewiele wiemy.

Moja historia nie miałaby żadnej wartości, gdyby nie była prawdziwa. Jest tak cikliwa i pretensjonalna jak bajka o Kopciuszku. A jednak życie bywa clikliwe i pretensjonalne — no cóż, Wielki Plan jest pisany dla wszystkich. Rzecz dzieje

się w górach, na wsi, w biednym gospodarstwie ludzi, których znam od lat i szczerze podziwiam za to, że się nie poddają. Założyli gospodarstwo agroturystyczne na swoje skromne możliwości, latami dopracowują maleńki ogródek, dorobili się receptury znanych w okolicy serów kozich. Przędą cienko, bo popyt na przysiółki nieduży, ale nie tracą nadziei. Kupili nawet do ogródka niedużą rynienkę, którą po obsadzeniu kamieniami i trawką nazwali „basenem”, dodając sobie gwiazdkę do stopnia luksusu. Od lat tam jeżdżę i obserwuję ich życie. Właściwie ta para jest przykładem absolutnej symbiozy. Od lat przyjeżdża tam też „jego rodzina”, jak ona o nich mówi. „Jego rodzina” składa się z matki i dwóch córek — dokładnie jak w bajce o Kopciuszku.

85

Zawsze miałam to skojarzenie, kiedy „jego matka” nachylała się do mnie szepcząc: „Straszna prościucha ta moja synowa”. Prościucha kręciła się po gospodarstwie, z roku na rok mówiąc coraz mniej, bo rzeczywiście niewiele miała do powiedzenia na tematy, które dość prowokacyjnie poruszała przy niej „jego rodzina”. Cokolwiek tam z duszy i z serca wymknęło się jej w czasie rozmowy o układach sił w kraju i za granicą, było kwitowane westchnieniem nad bezmiarem głupoty pewnej — nie wytykając palcem — części ludzkości. I nad biednym synem i bratem, który uległ czarowi dużego biustu i teraz tkwi w intelektualnym grajdole. „A on, proszę pani, był bardzo zdolny. Zresztą ma po kim. Nie chwałę się, trochę tam niebieskiej krwi w nas płynie. Córki mają po dwa fakultety”. „Tak. Mamy po dwa” — mówią córki na tyle głośno, żeby to doszło do chlewika, skąd dolatuje świński odór. „Mogłaby zamknąć się tam, kiedy człowiek chce posiedzieć na świeżym powietrzu. I to jest, proszę pani, mój jedyny syn. Pani rozumie, co ja czuję, kiedy na to patrzę?”

Minęło parę lat. Kiedy znów przyjechałam, mały ogród wyglądał jak miniatura ogrodów z okładki luksusowych pism. W ogrodzie kręciła się jakaś postać. Niepewnie. Nieporadnie. Jak wielkie zagubione dziecko. Dopiero kiedy odwróciła głowę w moją stronę, poznałam „jego matkę”. Cofnęła się na mój widok, jakbym była niepożądanym snem. Znacznie bardziej zainteresował ją jakiś kamień. Podniosła go i wtedy spojrzała na mnie. Byłam świetnym celem dla kamienia. Kiedy jednak z domu wybiegła postarzała już synowa, kamień poleciał prosto w jej stronę. Z podziwem patrzyłam, jak kobieta obłaskawia „jego matkę”. Ile w tym było twórczej dyplomacji.

86

Ile sprytu i czułości. „Tak to jest z alzheimerem. Gorzej niż dziecka trzeba pilnować. Czasem się cała umaże, a myć ciężko. Tylko pampersy drogie. A córki? Odkąd zachorowała, nie przyjechały. Dwa fakultety to jest kupa roboty. A tu jednak ogród, powietrze”. „Jego matka” żyła dłużej, niż wskazywały prognozy lekarzy. Umarła z dziecinnym uśmiechem na ustach wtulona w prościuchę. Córki wzięły spadek. Jakie czasy, taka bajka.

18 września 2004 r.

Głowa do interesów

Muszę odpocząć. Pełny relaks. Oddalenie. Bezpowrotne zamknięcie sezonu.

Otrząsnąć się i zebrać siły na nowe życie. Na zmianę barw.

I do tego właśnie najlepsze jest miejsce, gdzie jeździmy już od paru lat — moi przyjaciele, którzy cały rok ciężko pracują na swój zawodowy sukces, z tajemniczą miną wspominają od jakiegoś czasu o kurorcie, w którym odpoczywa się tak cudownie, że lepiej nie dawać tego adresu zbyt wielu ludziom. Ale mnie mogą. — A kto tam przyjedzie! — zawołałam, patrząc na cenę pokoi. — Nie, naprawdę nie

wyobrażam sobie, co takiego można postawić na Mazurach za taką liczbę zer!
— Tak — przyjaciele nie oponowali — jest drogo, a nawet bardzo drogo, ale wrócisz stamtąd jak nowo narodzona. Jeździ tam niewielka grupa osób, które na to stać. Potraktuj to jako rodzaj inwestycji.

No cóż. Oni znają się na interesach. Jadę.

Pod słowem honoru, że nie wydam tego kurortu, który mieści się w leśniczówce, odebrałam faks z nazwą miejscowości. Czytałam tę nazwę kilkakrotnie. Nie! Nie myliłam się! Nazwa wsi i leśniczówki była mi znana od zawsze! W dzieciństwie jeździłam tam każde-

88

go lata! Zapachniało mi oborą, kurzem małego podwórka, po którym biegało kilka kur i kaczek. Pośrodku stała stara studnia, z której czerpało się wodę kilka razy dziennie, windując z wysiłkiem pełne wiadro. Studnia zrzędziła, kaszłała, skrzypiała jak starucha, której nie chce się już żyć. Wieczorami, kiedy siedziało się w kuchni przy lampie naftowej (tak! tam nie było światła!) w otoczeniu brzęczących much, błyskały ognie palących się drewniek. O! Trudno było ten wyjazd nazwać relaksem! Płaciło się za te wakacje grosze, ale każdy, kto przyjeżdżał, musiał włączyć się w gospodarskie prace. No i dzięki temu ja — proszę państwa — i masło ubiję, i krowę wydoję, i snopki powiążę. Wszystko dzięki tym pracowitym wakacjom za grosze, po których wracało się zdrowszym i na ciele, i na duchu.

— Teraz tę leśniczówkę mają młodzi ludzie — powiedział mi przyjaciel. — Świetnie to czują. Wiedzą, co jest człowiekowi potrzebne do odpoczynku.

Jechałam z ciężkim sercem. I z ciężkim portfelem. Jakoś nie bardzo cieszyłam się na widok mojej leśniczówki zamienionej na luksusowy pensjonat. Nie żebym nie lubiła sauny, tenisa czy jacuzzi. Tylko dlatego, że coś minęło bezpowrotnie. Tak właśnie myślałam, zatrzymując się na... zakurczonym podwórku, po którym biegało kilka kur i kaczek!

Pośrodku stała stara studnia. Do studni czekała kolejka ludzi z pustymi wiadrami. Miałam niejasne wrażenie, że to osoby publicznie znane, ludzie sukcesu i dużych pieniędzy.

Z leśniczówki wyszła młoda kobieta modnie ostrzyżona i wyciągnęła do mnie rękę.

Weszliśmy do kuchni,

89

gdzie paliła się lampa naftowa, a w otoczeniu brzęczących much błyskały ognie drewniek.

Genialnie proste. Oni nic tu nie zmienili oprócz ceny! Oczywiście dojenie, ubijanie i studnia płatne dodatkowo. Tylko że już nie ma miejsc.

7 sierpnia 2004 r.

Dobra kobieta

N. wyszła z domu o godzinie siódmej zero sześć. Do pracy, na ósmą, miała niedaleko, jakieś dwadzieścia minut razem z jazdą autobusem, ale to był pierwszy dzień! Pierwszy dzień wyczekiwanego, wymodlonego nocami, wypłakanego w poduszkę, obiecane dzieciom stałego zatrudnienia!

— Taki dobry człowiek — mówili ludzie — a tak się męczy... — kiwali głowami nad N., która taka się już urodziła, że kiedy trzeba było pomóc drugiemu człowiekowi, działała cuda, przewracała do góry nogami całą administrację, trzęsła ośrodkami pomocy społecznej, a dla siebie niczego nie umiała załatwić.

Obok jej domu wyrastały szklane gmachy, w których osiedlały się nowe firmy, kręcili się w nich nowi pracownicy, szklane drzwi obracały się jak karuzela, a

ona czuła się tak, jakby była niewidzialna. Drzwi obracały nią dookoła, zanim zdołała wyjąkać, że przyszła szukać pracy. A jednak pewnego dnia zdarzył się cud, który zresztą przepowiedziała dzieciom patrzącym z przerażeniem, że energia ich matki wytwarza tylko dobra niematerialne. Ona jednak uparcie twierdziła, że to się opłaci. Tak już jest. I rzeczywiście.

Traf chciał, że prezes nowej firmy kupił żonie kota. I traf chciał, że żona miała uczulenie na koty. Dramat. Jakimś cudem dowiedziano się o N.

91

Jakim cudem? Ano właśnie jakimś cudem ludzie dowiadują się błyskawicznie o istnieniu człowieka, który skoro już ma w swoim małym mieszkanku trzy zbłąkane psy, męża pijaka i trójkę dzieci, to pewnie z chęcią przygarnie też kota. Dość, że prezes tej firmy znalazł się w domu N., a ponieważ właśnie szła do urzędu zatrudnienia, powiedział, że da jej pracę, byle tylko wzięła kota. Tylko że to jest poważna firma, rozwojowa, jedna wpadka czy spóźnienie i, niestety, wypada z gry. Dlatego właśnie dzisiaj N. znalazła się przed domem o siódmej zero sześć. O siódmej zero siedem N. ruszyła w kierunku przystanku autobusowego, dokładnie trzy minuty później dogonił ją były sąsiad, postawił przed N. swojego synka, mówiąc jednym tchem:

— Witam! To jest Karol właśnie! Przecież pani pamięta, jak zostawialiśmy go u pani, bo wrzeszczał, i żona nie mogła pracować, a teraz, proszę, jaki chłop, i nawet całą Lokomotywę Tuwima pani wyrecytuje. Bardzo proszę, niech go pani wysłucha... No, Karolku: „Stoi na stacji...”.

Recytowanie Lokomotywy Tuwima przez pięcioletnie dziecko na środku ulicy trwało dokładnie siedem minut i szesnaście sekund. Pochwały — cztery minuty piętnaście. Była więc siódma dwadzieścia dwie, kiedy N. znowu ruszyła w stronę przystanku autobusowego.

Dokładnie trzy minuty później usłyszała za sobą cichy płacz. Na chodniku leżała staruszka, a obok niej rozsypane bilety tramwajowe. Zbieranie z chodnika staruszki i biletów trwało około dziesięciu minut, wydobywanie z pamięci staruszki jej adresu drugie dziesięć, odprowadzenie staruszki do zrozpaczonej rodziny trzecie dziesięć. Było więc za pięć ósma, kiedy N. dobiegła do przy-

92

stanku i wpatrując się w pustą jezdnię, zobaczyła tego psa. Wpadał na jezdnię, cofał się, biegał przerażony po chodniku, znowu wbiegał...

Wszyscy na przystanku wpatrywali się w niego, ale też wszyscy wstali na widok autobusu. Pies biegał z wywieszonym językiem, to machając ogonem, to opuszczając go pod siebie. Łapanie przerażonego zwierzęcia zajęło N. około dziesięciu minut.

Chyba jakieś trzy minuty później usłyszała za sobą:

— Złodziejka! Policja! Maksi kochany! Maksi!

Policja zjawiała się natychmiast. W czasie legitymowania i spisowywania faktów przejechały dwa autobusy. Była ósma trzydzieści pięć, kiedy stara kwiaciarka potwierdziła zeznanie N. Spisywanie jej zeznań razem z narzekaniami na bratową trwało piętnaście minut, przeprosiny kobiety z Maksiem około pięciu, tak więc była dokładnie ósma pięćdziesiąt pięć, kiedy N. spokojnym krokiem ruszyła z powrotem w stronę domu.

Coraz więcej szklanych gmachów, coraz więcej okien, które świecą się do późnej nocy. Ale tam N. nigdy nie znajdzie stałego zatrudnienia. Natomiast zajęcie oczywiście znajdzie. Już jutro. Nie wiadomo, jakim cudem ludzie dowiadują się o istnieniu człowieka, który skoro ma już trzy zbłąkane psy, męża pijaka, troje dzieci i kota, to z pewnością zaopiekuje się staruszką, która ucieka z domu i

zbiera stare bilety tramwajowe.

27 marca 2004 r.

Niezależność

;

Samotni, wolni — jednym słowem niezależni. Panowie i panie własnego życia. Są znakiem czasu, prymusami naszego wieku — uśmiechają się z okładek w swoich niezależnych mieszkaniach, za swoimi niezależnymi biurkami, które się im należą za mistrzostwo w sztuce panowania nad sobą.

Ja to wszystko piszę z zazdrości. Też bym chciała być wolna, niezależna i podejmować samotnie własne decyzje. Cóż, kiedy życie potoczyło się inaczej. Ile to już było nagłych przebudzeń, porannych strumieni energii, niespodziewanej dawki siły, która pozwala zacząć wszystko od nowa. Trochę radosnej gimnastyki, zimny prysznic ze śpiewaniem, lekkie śniadanko, łyk kawy i już stoję pośrodku mieszkania z zakasnymi rękawami.

No tak... tylko że ja mieszkam z tą wariatką. A ona, kiedy widzi, że szykuję się do skoku, pyta cicho, czy nie byłoby dobrze iść do kawiarni. Bo może lepiej przemyśleć to wszystko, ułożyć jakiś plan. A ta wariatka kocha kawiarnie. I te stare, z purpurowymi materiałami na ścianach, gdzie w południe siadają kobiety, jedząc „ostatnią w życiu kremówkę”, i te małe, ciemne gniazdko, kakofonię tematów, i długie bary kawowe, gdzie znad gazety zerkają samotni szefowie firm, i te drogie, z długonogimi

94

kelnerkami, gdzie piękni mężczyźni z pięknymi kobietami szepczą o marketingu, i te modne wspólnoty związane tajemnicą, które milkną, kiedy otwierają się drzwi. Ta wariatka siada tam, żeby się zarazić temperaturą ludzkich spraw, żeby się wprawić w rytm, żeby się poczuć współtwórczynią małej historii ludzkości, która decyduje się w kawiarniach. Ale przecież w kawiarni nie można zacząć wszystkiego od nowa — to jest czysta fikcja, i dlatego nie zgadzam się z tą wariatką. Trzeba zostać w domu przede wszystkim dlatego, że nowe życie zaczyna się od sprzątanania. Zawsze. Nie można nawet myśleć o zmianach, dopóki nie uporządkuje się papierów, książek, butów, nie wyrzuci starych gazet, kalendarzyków, pluszowych pieszków i kartek pocztowych z nieczytelnymi podpisami. I tu zaczyna się drugi problem. Ta wariatka może jeszcze by uległa i zabrała się ze mną do pracy, tylko że ja mieszkam jeszcze z tą cholerną romantyczką.

Co z tego, że stawiam na środku pokoju wielką torbę na śmieci. Ona bierze każdą kartkę pocztową do ręki, studiuje każdą mewę na piaszczystej plaży, każdego zajęczka w wielkanocnym koszyku, wszystkie wyblakłe życzenia, i wkłada je z powrotem do szuflady.

To samo z gazetami. Wieczny spór o tę górę. A stare kalendarzyki? Kilka szuflad skrótów, godzin, pierwszych liter imion, nazwy ulic zalane kawą. Życie zaszyfrowane na zawsze. Nie do odczytania. Gdyby to ode mnie zależało, wrzuciłabym wszystkie do torby bez zmruczenia oka, ale przecież ja nie mieszkam sama. Ja mieszkam z tą romantyczką, która głaszcze każdy kalendarzyk po okładce i wkłada do szuflady jak relikwię.

Próbuję dogadać się z nią przynajmniej w sprawie słoni z podniesioną trąbą, pluszowych foczek, pieszków,

95

miniaturowych lampek i gipsowych figurek. Kiedy siadam do pracy, gapię się na nie w hipnotycznym otępieniu. Gdyby zniknęły, gdyby zerwać je z półek, gdzie zapuściły korzenie, wiele spraw rozjaśniłoby się natychmiast. Ale ja mieszkam z

tą romantyczką. Wyrzucić? Jak to wyrzucić! Każdy z tych przedmiotów ma prawo do lokalu choćby przez zasiedzenie! Każdy jest częścią pejzażu, decyduje o rozkładzie cieni, jest fauną pokoju!

Nie mam siły do tej kobiety. Siedzę wśród rozrzuconych przedmiotów, jakbym się włamała do własnego mieszkania. I wtedy ta wariatka mówi, żeby może zostawić to wszystko i jednak iść do kawiarni.

Dobrze. Idziemy do kawiarni. Ja, ta wariatka i ta romantyczką.

— Stolik na jedną osobę? — pyta kelner.

— Tak. I jedną kawę proszę — odpowiadam. Po chwili pijemy kawę, patrzymy na tłum niezależnych i myślimy, jak zapanować nad sobą. Ja, ta wariatka i ta romantyczką.
9 marca 2002 r.

Tytonia

Czas to błazen. To Puk ze Snu nocy letniej Szekspira. Biegnie szybciej niż ludzie, płacze wątki, miesza pary i czeka na nie w przyszłości z niespodziewanym zakończeniem. Szekspirowska Tytania, wiecznie głodna miłości, budzi się zakochana w ośle. Życie bywa jeszcze bardziej szydercze.

Czekałam na N., przeglądając nasze zdjęcia z czasów studiów: była taka śliczna i niepokojąca. Jednym spojrzeniem robiła z chłopakami coś takiego, że ich dotychczasowe życie rozbijało się na maleńkie cząsteczki i ginęło bezpowrotnie razem z ich dziewczynami, nauką, planami na przyszłość. Miała w sobie jakieś inne, tajemnicze życie, jakąś drugą energię. Dzisiaj takie dziewczyny zdobywają świat — wtedy zdobywały serca chłopaków, którzy niezdarnie udawali mężczyzn, tęskniąc do domu i mamy. Chodzili wokół niej wychudli, poszarzali, z podkrążonymi oczami — ktoś tam pociął się żyletką w wannie, czyjaś narzeczona wzięła garść proszków na sen, które na szczęście pomyliła z witaminą C, ktoś zawalił egzamin. N. natomiast poruszała się we własnej sieci ze zręcznością pięknego pająka. Czerpiąc soki z pierwszych chwil nowej miłości, zawsze była pełna życia — radosna i zakochana. I wybaczało się jej wszystko. Taka już była.

97

Czekając na N., oglądałam fotografie ze studenckiego obozu. Byłyśmy tam razem z koleżanką, która dopiero co urodziła syna. Ojciec dziecka właśnie się rozwodził po związku z jakimś nieopisanym potworem, ale kiedy dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży, ni z tego, ni z owego zakochał się we własnej żonie. I tak na nasz obóz trafił niemowlak, z którym fotografowałyśmy się bez przerwy, przewijając go, dokarmiając, huśtając na rękach.

Na jednym ze zdjęć N. trzyma dziecko na ręku i uśmiechając się do obiektywu, patrzy jasno w przyszłość.

Rozrzuciłam fotografie na kawiarnianym stoliku. N. zawsze pośrodku, uśmiechnięta, radosna... taka właśnie szła teraz w moją stronę. Nic się nie zmieniła, a nawet wypiękniała jeszcze, pewnie przez dostatek, dobre kosmetyki, ubranie w świetnym gatunku. Oczy jej błyszczały jak chyba nigdy dotąd. Z twarzy biła pełnia szczęścia — szła lekko, jakby nic nie ważyła mimo dużych, falujących piersi.

Kawiarnia ucichła. Nie było nikogo, kto by nie patrzył teraz na N., która wniosła tu słońce jesiennego południa. Jak zawsze była w centrum. Kobieta szczęśliwa. Kobieta zakochana. Bo przecież nie mogło być inaczej — żaden kosmetyk nie wydobędzie takiego wewnętrznego światła. Nie musiałam pytać — wystarczyło jedno spojrzenie prosto w oczy.

— Tak — powiedziała N. — Jestem śmiertelnie zakochana. Śmiertelnie. A wiesz, co jest najgorsze?

— No... co jest jeszcze gorsze...

— On jest młodszy o dziesięć lat!

— Są większe nieszczęścia. Znam dużo par, które dzieli ogromna różnica wieku i są naprawdę szczęśliwe. Co to jest dziesięć lat!

98

— No dobra — N. poprawiła się w krześle. — On jest młodszy o piętnaście lat...

— ...a tak naprawdę? — spytałam, patrząc jej głębiej w oczy, ale nie doczekałam się odpowiedzi. W kawiarni znowu zrobiło się cicho, bo w kierunku naszego stolika szedł piękny chłopak w rozpiętej kurtce. Uśmiechał się i zbliżał do N. jak przyciągany przez magnes. Witając się ze mną, spojrzał na stolik.

— O! Moja mama!... — zawołał, wskazując zdjęcie naszej koleżanki, która trzyma na rękach syna. — Skąd macie jej zdjęcia? Są jeszcze inne?

— Nie ma! — krzyknęłyśmy razem. N. przybladła nagle i szybko pomogła mi zebrać fotografie ze stolika. Na szczęście udało mi się od razu schować tę, na której N. z dzieckiem na rękach uśmiecha się do obiektywu, patrząc jasno w przyszłość. No i co? Szekspir by nie wymyślił!

18 listopada 2000 r.

Drogi Anonimie!

Od dłuższego czasu usiłujesz korespondować ze mną drogą pocztową. Twój kolezdy po piórze pisywali do mnie wielokrotnie, przez całe lata miałam do czynienia z twórczością anonimową i muszę powiedzieć, że jesteś mistrzem gatunku. Twój talent rozwija się z listu na list, masz imponująco bogate słownictwo i nie ulegasz manierze skrótów myślowych. Ja to głęboko szanuję i dlatego powinnam ci odpisać choćby po to, żeby wyrazić swój zachwyt. Każdy artysta potrzebuje akceptacji. Jest jeszcze jeden powód. W swoich miniarcydziełkach zawierasz pewne pytania i rady, na które powinnam ci odpowiedzieć, zwłaszcza że pojawiają się w każdym liście. Problem w tym, że twój gatunek literacki nie dopuszcza ujawniania adresu i nazwiska, więc nie mogę ci odpisać, chociaż uważam, że nasza korespondencja byłaby ciekawa i może nawet doczekałaby się wydania w twardej oprawie. Jednak czuję, że kilka istotnych punktów domaga się odpowiedzi, co też czynię ze względu na szacunek dla ludzi talentu. A więc piszesz:

Ty kurdupłu, idź lepiej do teatru lalkowego, bo chyba tylko tam się nadajesz.

Odpowiadam:

Kurduple nie nadają się do teatrów lalkowych, ponieważ operowanie lalkami wymaga ogromnej siły. Kukły,

100

pacynki, marionetki i inne lalki teatrów kukielkowych poruszane są dzięki niezwyklej zręczności aktorów kształconych w tym kierunku przez lata.

Manipulowanie lalką jest jedną z najtrudniejszych sztuk teatralnych i wymaga ogromnej zręczności manualnej. Nawet gdyby przyjęto mnie tam bez względu na nikły wzrost, i tak nie zdołałabym się nauczyć tej trudnej sztuki. Po prostu nie mam do tego talentu.

Piszesz:

I co ty zimna, pieprzona suczko możesz wiedzieć o ludziach?

Odpowiadam:

Oziębłość płciowa wśród zwierząt nie istnieje. Suki raz na pół roku mają tzw. ruję, która powoduje tak silny popęd płciowy, że zwierzę jest gotowe oddać się każdemu kundlowi choćby na śmietniku. Zastanawia mnie też użycie słowa „pieprzona”. Suki zimne, a więc w okresie poza rują, nie wydzielają hormonów przyciągających psy, dlatego też stosunek płciowy z zimną suką jest niemożliwy.

Sugerowałabym wykreślenie albo słowa „zimna”, albo „pieprzona” i mielibyśmy całkiem poprawne zdanie.

Piszesz:

I kim ty byś była, gdyby nie twój wspaniały sławny tatuś?

Odpowiadam:

Byłabym prawdopodobnie schludną, zamożną i ładnie uczesaną kobietą. Mój sławny tatuś miał pogardliwy stosunek do pieniędzy, co, niestety, mi wpoił, a nie jest to w tych czasach zaletą. Miał nieokiełznane włosy, które po nim odziedziczyłam. Był wspaniały, ale miał wiele wad. Jak każdy sławny tatuś.

101

Piszesz:

I tak nie wygrasz, świrowata inteligentko.

Odpowiadam:

Nie wygram. Inteligenci rzadko wygrywają. Zwykle są trochę z tyłu, bo każde działanie poprzedza taka ilość wahań, że w końcu zawsze ktoś ich uprzedzi. Taka już ich uroda. Co do „świra”. Ostatnio odwiedziłam dom dla schizofreników i muszę ci przyznać rację. Było tam kilku inteligentów. Często świrują i jest to obraz przygnębiający.

I jeszcze najlepsza wiadomość. Drogi Anonimie! Twoje listy do mnie dochodzą i działają tak, jak byś chciał. Nie jestem zdjęciem i nazwiskiem. Jestem osobą całkiem cielesną, której zależy na spokoju. Ty chcesz ten spokój zakłócić i jesteś skuteczny. A skuteczność to obecnie najbardziej ceniona cecha. Gratuluję, podziwiam i pozdrawiam.

PS Nie znam twojej płci, ale na wszelki wypadek najlepsze życzenia na Dzień Kobiet.

5 marca 2005 r.

Jednoręczność

Ślusarz był jedynym dwuręczkim człowiekiem, jakiego spotkałam tego dnia. Po prostu przypasowując kolejny klucz do zamka, trzymał telefon między ramieniem a uchem i umawiając się na kolejne wizyty, wykonywał swoją pracę swobodnie obiema rękami. Ja też posługuję się często metodą broda-ramię, przydaje się przy takich czynnościach jak wkładanie butów na przykład, ale telefon jeszcze zbyt często wymyka mi się na podłogę. Kwestia wprawy — powiedział ślusarz, zamykając brodą telefon. Dwuręki człowiek zniknął za rogiem i pod mój dom podjechała taksówka, a w niej jednoręki kierowca. Prowadził samochód dość sprawnie lewą ręką — telefon trzymał w prawej, umawiając się na kolejne zlecenia. Wsiadłam z taksówki, przekładając komórkę z jednej do drugiej ręki — w momencie zamykania drzwi metodą ramię-ucho oczywiście. W przychodni internistycznej jednoręka kobieta przyjęła ode mnie pieniądze, umawiając jednocześnie kolejne wizyty. W momentach krytycznych wsuwała telefon pod brodę, „na ślusarza”. W pewnej chwili zastosowała ciekawy chwyt — położyła telefon na biurku i uwalniając obie ręce, prowadziła rozmowę nachylając głowę nad słuchawką. Jednoręki lekarz przyjął mnie dość szybko — prawą ręką wskazując krzesło, na którym powinnam położyć ubranie.

Patrzy-

105

tam z podziwem, jak jedną ręką wyjmuje z koperty zdjęcie ptuc i jednocześnie umawia się na wizytę domową. Muszę powiedzieć, że zdejmowanie ubrania jedną ręką jest szczególnie trudne. Najgorszy jest moment ściągania przez głowę — tutaj nawet „na ślusarza” się nie da — tak więc przez dłuższy czas uwięziłam się w

ciemnościach swetra... Jednoręki lekarz słuchał mojego serca prawym uchem, lewym natomiast odsłuchiwał żale pacjenta na skoki ciśnienia. Wypisanie recepty nie było problemem — posłużył się chwytem ramię-broda i uściśniliśmy sobie wolne dłonie. Po masażu u jednorękiego masażysty (masaż prawą, telefon lewą) pojechałam na próbę koncertu. Jednoręki dyrygent pracował metodą ucho-broda, póki mógł, ale w wypadku telefonu z propozycją do Wiednia dyrygował lewą ręką, czego oczywiście nie miała mu za złe jednoręka orkiestra. Z orkiestry najlepiej ma pianista — podczas całego utworu może trzymać słuchawkę „na ślusarza”, rozmawiając swobodnie — najgorzej natomiast mają puzoniści i skrzypkowie. W zasadzie pozycja skrzypka jest pozycją ucho-broda, tyle tylko że między brodą a ramieniem są skrzypce, tak więc telefon już się nie mieści. Na szczęście w partiach skrzypcowych są przerwy i wtedy można błyskawicznie zamienić skrzypce na telefon. Puzoniści natomiast, w ogóle instrumenty dęte, mają o tyle trudniej, że niestety usta mają zatkane przez trąbkę bądź puzon — oczywiście można by tylko słuchać, co mówi rozmówca, ale instrumenty dęte same siebie zagłuszają graniami — dlatego mogą rozmawiać tylko w przerwach. Jednoręka publiczność koncertu była wspaniała, trzeba przyznać — w czasie spektaklu zadzwoniły tylko dwa telefony, większość włączyła komórki dopiero na końcu

106

koncertu. Muszę powiedzieć, że bicie braw w trakcie owacji jest dowodem wielkiej zręczności — większość posługiwała się metodą broda-ramię, byli też tacy, którzy zadowolili się samym włączeniem telefonu. Po koncercie — kolacja. Podano zrazy zawijane. Kucharz był tego wieczoru jedynym dwurękim człowiekiem w tym kraju — wiem to na pewno, ponieważ odwinełam swój zraz. Co było w moim zrazie? Odpowiedzi można przysyłać na www.szczepkowska.pl. Nagrodą jest zestaw zabawkowy „mały zongler”.

7 stycznia 2006 r.

Do osoby, która mi go zabrała

Upprzedzam — nic mnie nie obchodzi to, że powiedzą: prywatnie, wykorzystuje miejsce na felieton na swoje osobiste przeżycia. Z całą desperacją idę na żer internetowych anonimów. Nic mnie to nie obchodzi! Nic oprócz Niego. Każdy, kto przeżył ból rozłąki, musi mnie zrozumieć. Dlatego wołam, proszę, krzyczę: Oddaj mi go! Błagam! Nie mogę się skupić na żadnej najprostszej czynności! Gorączka, oddech przyspieszony, drżenie rąk, zbieram z podłogi stłuczone filiżanki, nic nie widzę przez łzy.

Wczoraj siedziałam na łóżku, kiwając się jak w chorobie sieroczej. Zrywam się na dźwięk telefonu z nadzieją, że to wiadomość o nim. Chodzę od ściany do ściany! Przychodzą do mnie ludzie, mówią: „On nic nie był wart” albo „Zasługujesz na coś lepszego”. A ja chcę od nich tylko jednego — najmniejszej aluzji, że go ktoś widział, chociaż przelotnie.

Nie mam do ciebie żalu. W końcu on spodobał się tobie tak samo jak mnie, więc coś jednak nas łączy. Wiesz... Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, pomyślałam: „Co się w nim może podobać?”. Z jaką wyższością patrzyłam na wszystkie osoby zabiegające o takich jak on. Z jaką pewnością siebie mówiłam: „Nigdy się z takim nie zwiążę. Ten rodzaj uzależnienia w ogóle nie wchodzi w grę”. Minęło tak niewiele czasu i moje życie

108

nagle wypełniło się jego obecnością. Jak to możliwe, że kiedyś go nie było? Czasem musiałam go dotknąć, poczuć, że jest blisko mnie. Wtedy ogarniało mnie to cudowne poczucie bezpieczeństwa.

A teraz? Pustka, strach, bezsilność. Potworne uczucie rozłąki. Wyrzuty sumienia. Natręctwa pytań. Jaki błąd zrobiłam? Brak dostatecznej uwagi? Zbytne skupienie na sobie? Może trzeba było patrzeć uważniej na osoby przyglądające mu się z pożądaniem? Opracować jakąś strategię? Dzwonię do niego nieustannie. Milczy. Pewnie go wyczerpałam. Za dużo mówiłam? Za bardzo na niego liczyłam? Może powinnam sama się budzić, sprawdzać kurs złotówki, załatwiać korespondencję...

Gdybym wiedziała chociaż, gdzie jest, poczułabym się spokojniejsza. To takie dziwne, że w podobnych sytuacjach chcemy być bliżej, wiedzieć wszystko, zobaczyć. Może to próba oswojenia bólu? Dlaczego to tak boli? Bo każde spotkanie jest niepowtarzalne. Na tym polega atrakcyjność istoty zwanej parą. Dlatego tak trudno sobie wyobrazić, że to samo połączy go z inną osobą. To jest niewyobrażalne. Powtarzalność zespolenia. Ktoś go dotyka. Ktoś mi go zabrał z naszymi tajemnicami, z moimi tajemnicami. I słowa, które na zawsze zapisał w pamięci. Zazdrość jest uczuciem niszczącym jak mało co.

Nie wiem nawet, jak ta osoba wygląda. Może ją znam? Może witałyśmy się w sklepie po sąsiedzku? Może patrzy na mnie z satysfakcją, widząc moją pobladłą twarz i podkrążone oczy? A może nie wie, że był mój?

Oczywiście ty tego tak nie czujesz. Jakoś tam sobie tłumaczysz swój czyn, zajmujesz się raczej wszystkim, co łączy się z waszym nowym życiem. Może to

tylko

109
chwilowa zabawka. Może rzucisz go za kilka dni. On jest słaby. Nieskomplikowany. On się łatwo wyczerpuje. A mimo wszystko proszę! Błagam! Upokarzam się! Oddaj mi go! Kimkolwiek jesteś! Masz go dla siebie tak krótko, a ja go miałam przez lata i nie chcę innego! Proszę! Złodzieju! Oddaj mi mój telefon komórkowy!

4 września 2004 r.

Jedno szybkie pytanie

Piszę w biegu, bo przecież wiem, że się wszyscy spieszą, ja też się spieszę i nie bardzo mam czas coś napisać, więc dobiegam do tego felietonu, jak zresztą wszyscy w tym kraju, akurat jestem naprzeciwko ogródka jordanowskiego i kuleję, bo lekarz ortopeda, który dobiega ze szpitala do przychodni zmęczony, wypisał mi złe receptę i zasypiał przy biurku, a recepty mi nie uznano, ale zaproponowano zastępcze lekarstwo bez recepty, które zupełnie nie podziałało, prawdopodobnie dlatego, że ktoś, kto je robi, też dobiega do pracy z innego zajęcia i ze zmęczenia mogły mu się pomylić proporcje, czego nie zauważyły organa kontrolujące, które też dobiegają do kontrolowania po jakiejś pracy ubocznej, żeby spłacić kredyty, których oprocentowanie ustalają potwornie zmęczeni ludzie kierowani przez ministrów i posłów, którzy dobiegają na zebrania z różnych oficjalnych obiadów i kolacji, z czego potem rozlicza ich przed całym zmęczonym społeczeństwem sejmowa komisja składająca się z ludzi umęczonych dobieganiem do komisji z prac sejmowych albo kampanii wyborczych, więc czy w tym biegu powinnam dręczyć się pytaniem, które od dawna sobie zadaję, zwłaszcza w okolicy ogródka jordanowskiego, i potwornie mnie to pytanie męczy, i nie pozwala myśleć, chociaż powinnam przeczytać gazetę,

111

w której jest raport o malejącej wrażliwości młodzieży i rosnącej liczbie dzieci poddających się molestowaniu seksualnemu, bo to jest przerażające, chociaż chciałabym wiedzieć, czy granica tego molestowania zaczyna się od dotyku, czy też można molestować, czyli przekraczać etapy rozwoju dziecka, innymi sposobami,

bo na przykład jedna pani obnaża się publicznie, robiąc wyuzdane miny i pokazując swoją nawet ładną bieliznę, wkłada sobie rękę w koronkowe majtki, a robi to naprzeciwko ogrodu jordanowskiego, gdzie bawią się dzieci, i ja się cały czas zastanawiam, czy te dzieci ją widzą, bo ona jest tak ogromna jak pół domu, więc może dzieci nawet nie rejestrują jej obleśnej miny i tego, co ona robi, ale jednak istnieje ryzyko, że rejestrują, więc jeżeli tak, to przecież te dzieci nie są już zupełnie dziećmi, mając codziennie przed oczami kobietę, która sobie robi to, co robi, co oczywiście nie jest żadnym grzechem, tylko normalną rzeczą, którą — nie oszukujmy się — ludzie robią, chociaż raczej w samotności, i ja cały czas sobie myślę, jak te dzieci sobie z tym radzą, że ta pani jest taka goła i w takim intymnym stanie stoi przed nimi, kiedy one się bawią, czy o tym myślą, czy tylko to im zapada w podświadomość, o czym oczywiście nie myśli ta pani, której nazwiska nie znam, ale mogę podać adres, zresztą parę adresów, bo ja tę panią widuję często w mieście, a obok niej przechodzą dzieci, jak zresztą obok innych jej koleżanek, które można spotkać w kioskach z gazetami, gdzie dzieci kupują sobie gumę do żucia i siłą rzeczy stykają się z paniami w różnych stanach intymnych, co widać po ich twarzach i ciałach wygiętych do niemożliwości, że aż czasem żal mi ich kręgosłupów, chociaż ich samych mi nie żal, bo zaczepiają dzieci, a w każdym

112

razie ich oczy, które już nigdy nie będą takimi samymi oczami jak przedtem, mimo że nie są dotykane, to jednak przecież to zmienia ich zmysły, jakoś pobudza wyobraźnię raczej nie w stronę Gumisiów i ja tylko chciałam zapytać, dlaczego, jeżeli tyle osób siedzi za molestowanie dzieci, czyli łamanie im życia przez stymulowanie ich popędu i pobudzanie zmysłów we wczesnym stadium życia, przez co nie mogą rozwijać się normalnie, to dlaczego ci ludzie siedzą, a nie siedzi ta pani, która wkłada sobie rękę w koronkowe majtki, patrząc obleśnie na dzieci z ogródka jordanowskiego, dlaczego może to robić za zgodą miasta i jeszcze jest godnie opłacana, dlaczego, skoro dzieci są molestowane codziennie, na każdej ulicy, w drodze do przedszkola i w przedszkolu, dlaczego obok zdjęcia takiej pani ja czytam raport o tym, że obniża się zdecydowanie próg wrażliwości młodzieży i zwiększa liczba ludzi molestujących dzieci, jak również dzieci pozwalających się molestować — ja tylko chciałam zapytać, dlaczego to w ogóle kogokolwiek dziwi.

14 maja 2005r.

Człowiek uśmiechnięty

Do Akademii Nauk

Niniejszym pragniemy przedstawić Szanownej Akademii odkrycie, w naszym poczuciu, niezwyklej wagi. W wyniku prac archeologicznych natknęliśmy się na ślady istnienia plemion prymitywnych, których cywilizacja, zdobycze filozoficzne i kulturowe pozwalają wysunąć hipotezę związaną z powodami, dla których wykształcone cechy tego szczególnego gatunku ludzkiego zaginęły i nie miały wpływu na dalszy rozwój homo sapiens. Badania opieramy na niewielkiej ilości śladów w postaci strzępów taśmy światłoczułej. Nie wiadomo, czemu służyła taka taśma, są na niej jednak zarejestrowane zachowania świadczące o tym, że ludy te zachowały wierzenia i system wartości zupełnie niezależny od zdobyczy wcześniejszych epok. Z powodów, które wymienimy, pozwoliliśmy sobie to stadium rozwoju homo sapiens nazwać roboczo Człowiekiem Uśmiechniętym. Charakteryzuje się on bowiem szczególnym grymasem na twarzy, przypominającym uśmiech. Człowiek Uśmiechnięty zarejestrowany na tej taśmie posługuje się niewielką ilością słów i

znień, odwołując się do najprostszych potrzeb, jak jedzenie i seks. Najwyraźniej nie posługuje się refleksją, co charakteryzowało epoki wcześniejsze. Natomiast niezwykle łatwo popada w ekstazę — po-

114

wodem takiego stanu może być na przykład wyprana plama, czekoladowy paluszek czy płyn gazowany. Człowiek Uśmiechnięty na widok kawałka smażonego plastra ziemniaka najwyraźniej traci poczucie rzeczywistości, a jego mimika i ekspresja przypominają stadium rozwoju dwulatka.

Ze względu na prymitywny jeszcze układ nerwowy bardzo łatwo osiąga podniecenie seksualne, niekoniecznie związane z drugim człowiekiem. Skojarzenia erotyczne budzi w nim w zasadzie każdy przedmiot określany jako „nowy” — może to być nowy szampon do włosów, nowy krem do ciała bądź farba do ściany. Człowiek Uśmiechnięty czyni przedmiotem kultu wiele bóstw, nie są one jednak uosabiane przez dzieła sztuki, ale przez przedmioty codziennego użytku. Na taśmie światłoczułej zarejestrowaliśmy u jednej z kobiet stan głębokiej medytacji osiągnięty przez kontakt z żelmem nawilżającym. Nasza hipoteza związana jest z pojęciem szczęścia. Niżej podpisani przestudiowali wszystkie strzępki odkrytych taśm światłoczułych i z całą odpowiedzialnością możemy powiedzieć, że słowo „szczęście” powtarzane jest wielokrotnie. Jak wiadomo, istotą szczęścia zajmowali się filozofowie poprzednich epok. Według Demokryta na przykład siedzibą szczęścia jest dusza ludzka. Według Arystotelesa szczęściem jest, ogólnie rzecz biorąc, pomyślność. Kartezjusz rozumiał je jako doskonałość. W epokach, kiedy człowiek zdolny był do refleksji, często pojawiało się pytanie, czy szczęście to intensywny stan radości, upojenie czy harmonia, łaska wiary, zaufanie Bogu. Jednak to pytanie najwyraźniej nie ciąży Człowiekowi Uśmiechniętemu. Człowiek omawianej epoki szczęściem nazywa stan po wypiciu kefiru. Byłoby to bliż-

115

sze arystotelesowskiemu widzeniu świata, ale na jednej z wydobytych taśm zauważyliśmy niepokojące zjawisko. Człowiek Uśmiechnięty zarejestrowany na taśmie światłoczułej stan po wypiciu kefiru określił jako superszczęście. Ten pozornie mało znaczący fakt jest jednak czymś niezwykle istotnym. Szczęście, jakkolwiek rozumiane, jest pełnią na miarę potrzeb jednostki. Omawiane tu plemię osiąga szczęście za pomocą drobnych gadżetów lub jedzenia, co jest możliwe ze względu na niski poziom uczuć wyższych. Jednak skoro Człowiek Uśmiechnięty swój stan po wypiciu kefiru określa jako superszczęście, oznacza to, że szczęście już mu nie wystarcza. Jak jest jednak możliwe, żeby nie wystarczała jego pełnia? Jeśli po wypiciu kefiru nie osiąga szczęścia, tylko superszczęście, czyli coś jeszcze lepszego od szczęścia, to znaczy, że superszczęście może też nie być wystarczające — wraz z nowym kefirem pojawi się więc uczucie megasuperszczęścia, potem uczucie XXL megasuperszczęścia i tak dalej. Zważywszy na silną pobudliwość emocjonalną Człowieka Uśmiechniętego, zważywszy na to, że w stanie euforycznym może skakać z dachu na dach odległych budynków, zważywszy na infantylnizm osobników dorosłych oraz na to, że produkował coraz więcej kefirów, istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że Człowiek Uśmiechnięty po prostu wymarł ze szczęścia. Ze względu na to, że historia może się powtarzać i należy z niej wyciągać wnioski, prosimy Akademię o rozpatrzenie naszej prośby o dofinansowanie zaawansowanych prac.

Zespół stacji prac archeologicznych na globie ziemskim. 15 maja 6987 r.

28 maja 2005 r.

Jak wyprostować koło?

Pewne dziecko zapytane, czego najbardziej się boi, odpowiedziało: „Niemiaenia samochodu”. Otóż zapewniam, że niemienie samochodu ma swoje zalety. Dzięki niemieniu samochodu zdarzyło się w moim życiu znacznie więcej, niż gdybym zdecydowała się na jego mienie.

Ostatnio na przykład przy krawężniku zatrzymał się przepiękny samochód, wychylił się z niego elegancki pan drobnej postury i zapytał, czy mnie podwieźć. Zachowywał się tak, jakbyśmy się dobrze znali, a ja miałam kłopot z uświadomieniem sobie, kim jest ten mężczyzna i dlaczego mam wrażenie, że widuję go często.

Zrozumiałam to, kiedy się do mnie uśmiechnął. Oczywiście, znam go z telewizji. Jeden z tych, którzy co jakiś czas w obecności kamery dochodzą do wielkich drzwi, machają ręką w kierunku dziennikarzy i z tajemniczym uśmiechem znikają za tymi drzwiami. Ponieważ człowiek ten jednak mnie podwiózł, zrobił mi uprzejmość, więc nie ujawnię jego nazwiska.

Powiem tylko, że reprezentuje on figurę geometryczną występującą jedynie w polityce, a mianowicie KOŁO ZBLIŻONE DO. Figury tej nie należy mylić z kołem geometrycznym, będącym formą doskonałą. Koło Zbliżone Do jest nierówne, otwarte, a promień tego koła jest zmienny i zależy wyłącznie od rozmiaru plotki danego

117

dnia. Miałam oczywiście wątpliwość, czy wchodząc do samochodu, nie staję się przypadkiem częścią Koła Zbliżonego Do. Całkiem możliwe przecież, że ten mężczyzna postanowił mnie wchłonąć przez podwiezienie. Nagła i potężna ulewa ucięła wszelkie spekulacje. Wsiadłam do samochodu.

Ulewa mijała powoli, a my, stojąc w korku na moście, byliśmy zatopieni w rozmowie na temat programu TVN „Mamy cię”. Zdania na temat programu są różne i próbowaliśmy je analizować. Bo z jednej strony „przeoginają”, stawiając ludzi w ekstremalnych sytuacjach, czasem zawałowych. Z drugiej strony wiele osób zdało taki egzamin tak dobrze, że można było zmienić o nich zdanie. Właśnie chciałam omówić jeszcze jeden aspekt programu, kiedy usłyszeliśmy krzyk. Na wąskim chodniku mostu potężny typ napchany sterydami szarpał się z kobietą, która trzymała pasek swojej torebki tak mocno, jakby była do niej przyszyta.

Spojrzałam na swojego kierowcę. Mężczyzna patrzył uważnie przed siebie, jakby coś niezwykle istotnego działo się za przednią szybą. Jego drobna sylwetka skurczyła się przy kierownicy. Odwrócił głowę dopiero wtedy, kiedy para związana torebką wpadła na jezdnię. I wtedy powiedziałam: — A może to „Mamy cię”?

Nawet nie zdążyłam go powstrzymać, bo mężczyzna wyskoczył z samochodu jak Rambo.

Nawet nie zdążyłam krzyknąć, kiedy jednym ciosem powalił potwora na ziemię, a ten padł bardziej ze zdumienia chyba niż z bezsilności. Kobieta zbierała z ziemi dokumenty i pakowała je do torebki. Mężczyzna wykręcił rękę leżącemu i usiadł na nim okrakiem. Wyglądał trochę jak maleńki ptaszek na rannym jeleniu. I tak siedział. Krople deszczu pada-

118

ły na jego garnitur, na głowę, a on cały mokry rozglądał się niespokojnie dookoła. Według scenariusza programu „Mamy cię” teraz właśnie powinny pojawić się kamery. Powinien dostać kwiaty i brawa. Ale nic takiego się nie działo.

Kobieta odeszła, deszcz padał, a wielkie ciało złodzieja zaczęło poruszać się niespokojnie. A może złodziej odwróci głowę i okaże się aktorem? Ja też miałam taką nadzieję. Niestety, potwór jednym ruchem zrzucił z siebie mężczyznę i odszedł z grymasem obrzydzenia. Jechaliśmy w milczeniu, chociaż mężczyzna

rozglądał się co chwila z nadzieją na kamerę. Kiedy dojechaliśmy do Gmachu Zbliżonego Do, mój kierowca powiedział smutno: — Przez chwilę myślałem, że mnie pani wkręca.

Uśmiechnęłam się tajemniczo. Tak tajemniczo, żeby zrozumiał, że dzień wkręconego nie kończy się na jednym epizodzie. Tak tajemniczo, żeby sobie to zapamiętał, wchodząc do Koła Zbliżonego Do. Jeszcze trochę programów „Mamy cię”, a będą to koła złożone z ludzi, którzy w nadziei na ukrytą kamerę sprostają każdej sytuacji, zawsze gotowi złapać złodzieja. A w końcu o to chodzi, nie?

16 października 2004 r.

Rządy cyfr

Proroczą bajeczkę „Jak cyferki zjadły człowieka” wymyśliłam, mając jakieś dziesięć lat, prawdopodobnie nad zeszytem do matematyki. W wyniku przemęczenia doszło do erupcji wyobraźni, cyfry zaczęły wychodzić z kartki i jak stado piranii pożerały mnie od paznokci po palce nóg. Nic szczególnego w tej bajce się nie działo poza stopniowym znikaniem człowieka pod wpływem inwazji cyfr. Właściwie bajka nadawałaby się raczej na krótki film rysunkowy i pewnie nigdy bym sobie jej nie przypomniała, gdyby nie list od N.

Prosiłam ją, żeby napisała, co u niej, jak tam na wakacjach. I kiedy z kartek listu czytałam treść jej marzeń spełniających się jak za dotknięciem różdżki, stanęła mi w oczach ta bajka.

N. kupiła dwutygodniowy pobyt w Grecji za 1400 zł. Wyleciała o 9.30, leciała 2 godziny, przyleciała o 11.30. Tam ma hotel 3*** z 2 basenami i z 2 posiłkami. Wstaje o 8, na plaży leży 3 godziny, potem 1 godzina spaceru po mieście — ok. 2 km w jedną stronę, co razem daje 4. Wykupiła 2 wycieczki po 100 doi. Jedna wycieczka 2-dniowa, druga blisko 8-godzinna. W czasie pierwszej było 38 stopni w cieniu. Po 2 dniach N. dostała 38 stopni gorączki, ale pojechała na drugą wycieczkę, gdzie na szczęście było tylko 28 stopni w cieniu. W ogóle prze-

120
ciętnie było ok. 30 stopni. 2 razy skakała na bungee, 3 razy nurkowała, 4 raz już nie chciała. Poznała 2 super-dziewczyny i 1 małżeństwo. Zostało jeszcze 3 dni. Przylatuje o 2.12.

No więc ja to wszystko podliczyłam. Wynik wakacji N. jest 3842. Myślę, że w skali rocznej to dużo.

Po przeczytaniu tego listu znalazłam się w Muzeum Narodowym, gdzie grupa wycieczkowa zadawała przewodnikowi pytania na temat obrazów: — Ile on to malował? Ile miał lat?

I jakoś nikt się nie zdziwił, kiedy dołączałam z pytaniem: — Ile ten obraz waży?

A... bez farby?

10 lipca 2004 r.

Dziele się

Staram się obliczyć, ilu ich byto. Zaczęłam się z nimi spotykać mniej więcej w dwunastym roku życia. Skończyłam z tym, mając osiemnaście lat. No więc, licząc, że w ciągu miesiąca przychodziło sześciu, ośmiu, to w ciągu roku... Nie obliczę tego. Nie umiem. Zresztą nawet nie pamiętam ich twarzy. Siedząc w bujanym fotelu, zawsze starałam się odgadnąć, jaki będzie ten następny, który stanie w drzwiach mojego pokoju. Potem, kiedy już zbliżał się do mnie, obserwowałam go fachowym okiem, bujając się dalej. — Ile to potrwa? — myślałam, oceniając rzecz po sylwetce, rodzaju temperamentu i stanie ducha. Ten wyjdzie po pół godzinie, tamten z poczuciem winy, ten spróbuje się czegoś o mnie dowiedzieć, zrozumieć, dlaczego upadłam tak nisko, tamten wybiegnie z pokoju po dwudziestu minutach,

ten po godzinie, z uśmiechem i poczuciem spełnienia. Tak. Już od dwunastego roku życia wiedziałam o mężczyznach prawie wszystko. Nie burzyłam od razu ich pewności siebie. Każdemu inaczej trzeba było powiedzieć, że ze mną nie jest tak jak z innymi. Że ja stawiam opór i dużo czasu minie, zanim znajdą do mnie drogę. I że muszą się liczyć z porażką. Że tu nie wystarczy doświadczenie, wiedza, siła perswazji czy spokoju. Że pieniądze pieniędzmi, ale o mnie trzeba walczyć jak rycerz ze Śpiącej kró-

122

lewny, który wyciął stuletni las, żeby ożywić ją jednym pocałunkiem.

Ale oni, słuchając tych reguł gry, uśmiechali się, pewni swojej mocy i doświadczenia. Ilu ja ich widziałam stających w drzwiach pokoju — bojowników z męską piersią, w której biło serce mocne jak dzwon. Ilu ja ich widziałam wychodzących z pokoju: skulonych, zmizer-niałych, postarzałych, przegranych. Ilu ja już ich widziałam, bujając się w swoim fotelu. Ilu przewinęło się przez moje życie! Ilu korepetytorów matematyki!

— No ale to to już jest naprawdę proste. Nie rozumiesz, że jedna druga to jest więcej niż jedna czwarta?

— Nie rozumiem. Przecież cztery to więcej niż dwa.

— Popatrz. Mamy jabłko. Kroimy je na cztery części. Ile jabłek oni pokroili!

Ile pięknych czerwono-żółtych

kul zamieniło się w gnijące cząsteczki. Cały ten pokrojony świat jednych szesnastych, jednych dwudziestych trzecich pachniał jabłkiem i był oczywisty jak to, że dwa jest dwa. Przecież nie jestem kretynką, żeby nie widzieć, że ta cząstka jest mniejsza od tamtej, a jeżeli jest ich szesnaście, to każda z nich jest jedną szesnastą. Tylko jaki to ma związek z piąterkiem dwóch cyfr przedzielonych kreseczką? Co ma przedstawianie cząsteczek jabłka na moim stole do tego mrowiska liczb, od których kręci się w głowie i uginają się kolana? I które podobno dadzą się sprowadzić do jednej liczby?

Nigdy nie umiałam liczyć. I teraz też nie umiem. Nie mówię o prostych działaniach, które też robię wolniej niż inni, ale o podstawowych manipulacjach, wnioskach, przewidywaniach, że: „jakby to teraz podzielić, to po przemnożeniu i odjęciu tamtego wyjdzie nam suma, którą przemnożymy przez dwa i wyjdziemy na prostą”.

123

W obliczu cyfr dzieje się ze mną coś dziwnego. Wobec kartki zapisanej cyframi robię się senna, ogarnia mnie coś w rodzaju letargu, a poszczególne liczby w żaden sposób nie chcą być symbolem ilości — są znakami graficznymi, które widzę jako obraz. I tak było zawsze. I piszę o tym teraz, kiedy zaczyna się rok szkolny, żeby wzięli to pod uwagę nauczyciele, Ministerstwo Edukacji, a może nawet neurobiolodzy.

Otóż moim zdaniem istnieje coś w rodzaju matematycznej dysleksji. Dyslektycy ortograficzni zostali już dawno rozgrzeszeni, i dobrze. Ale czy nie należałoby pomyśleć o przypadkach podobnych do mojego? Czy określenie „niezdolny” jest na pewno właściwe dla tych, którzy nie widzą cyfr? Odkąd pamiętam, borykałam się z problemem przejścia do następnej klasy z powodu tej ułomności. Ratowały mnie spektakularne sukcesy na polu wypracowań z polskiego. Ale co z tymi, którzy nie mają takich sukcesów? Czy na pewno należy w nich gruntować kompleksy?

Łączę się z wami w bólu, dyslektycy matematyczni. Nie jesteście idiotami, tylko macie umysł ścisły inaczej. Wydano kupę pieniędzy na moich korepetytorów z matematyki. I co? Nawet nie umiem ich policzyć. A żyję.

27 września 2003 r.

Felieton 38927wwwLS

Witaj. Znajdujesz się w menu głównym Felietonów — dział archiwalny, pasmo 3695.owww.llxx — nazwisko autora, które wybrałeś drogą cyfrową, to Joanna Szczepkowska. Aby potwierdzić, czy kolejność liter nazwiska jest prawidłowa, wybierz 0. Dziękujemy.

Dla usprawnienia usługi podaj swój kod genetyczny i potwierdź gwiazdką. Dziękujemy. Pragniemy poinformować, że w celu zabezpieczenia danych i ochrony praw konsumenta od tej chwili jesteś monitorowany przez główne centrum operatorów naszej sieci — zbliżenie twarzy 350 proc. Jeśli nie chcesz być monitorowany, rozłącz się. Dziękujemy. Jeśli jesteś stałym czytelnikiem, wprowadź PIN kod. Dziękujemy.

Jeśli znalazłeś się tu po raz pierwszy, wprowadź datę urodzenia swojego dziadka od strony matki i wybierz gwiazdkę. Dziękujemy. Teraz dodaj wszystkie cyfry daty urodzenia dziadka od strony matki i pomnóż przez sumę cyfr daty urodzenia babki od strony ojca. Dziękujemy. Wybierz parzyste cyfry z otrzymanej sumy i małym palcem lewej dłoni naciśnij dwie pierwsze cyfry. Dziękujemy. Twój PIN kod to pierwiastek sumy dwóch cyfr, które nacisnąłeś. Wprowadź go, wciskając klawiaturę lewym nadgarstkiem. Dziękujemy.

125

Witaj wśród czytelników działu archiwalnego, pasmo 3695.owww.llxx — Joanna Szczepkowska. Jeśli chcesz przeczytać tekst za pomocą liter, wybierz numer tekstu, z którym chcesz się zapoznać, i naciśnij 1. Jeśli chcesz wysłuchać tekstu, wybierz numer tekstu, z którym chcesz się zapoznać, i wciśnij 2. Jeśli chcesz zobaczyć wersję wideo, wybierz 3. Jeśli chcesz zasięgnąć opinii, wybierz 4. Dziękujemy.

Witaj w menu tekstów czytanych za pomocą liter. Jeśli czytasz ze zrozumieniem, wybierz 38. Jeśli potrzebujesz wyjaśnień poszczególnych akapitów, wybierz 56. Jeśli chcesz połączyć się z konsultantem, wybierz 2. Dziękujemy.

Witaj w menu czytających ze zrozumieniem. Miło nam poinformować, że w celu udoskonalenia kontaktów z czytelnikiem wprowadziliśmy nową usługę. Teraz możesz połączyć się z autorką i odbyć z nią półtora-minutową rozmowę. Jeśli chcesz skorzystać z usługi, wybierz numer naszego sklepu spożywczego i kup najnowszy zestaw ziarenek masła superekomax. Dziękujemy. Jesteś w kolejce oczekujących. Jesteś na pozycji 1. Szacowany czas oczekiwania trzy i pół minuty. Czy twój dom jest bezpieczny? Czy czujesz się spokojny, siedząc w mieszkaniu o nieszczelnych drzwiach i oknach? Czy napięcie mięśni, które odczuwasz, nie łączy się z poczuciem zagrożenia? Spokojnie. Drzwi antywłamaniowe Makro Spoko czekają na ciebie pod numerem 00456. Nie wahaj się. Kup. Nie możesz się zdecydować? My zrobimy to za ciebie. Jeśli nie rozłączysz się w ciągu pięciu sekund, dostarczymy ci drzwi pod sam próg. Dziękujemy. Jesteś w kolejce oczekujących na rozmowę. Za chwilę połączymy cię z Domem Opieki nad Nieprzysto-

126

sowanymi, gdzie znajduje się autorka. Pragniemy poinformować, że centrum operatorów monitoruje autorów — zbliżenie twarzy 458 proc. Witaj. Podaj swój PIN kod. Dziękujemy. Podaj swój kod genetyczny. Dziękujemy. Za chwilę autorka wybierze swój kod genetyczny i PIN kod. Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj się. Przepraszamy. Twój rozmówca podał błędny PIN kod. Nie rozłączaj się. Przepraszamy. Twój rozmówca podał błędny PIN kod. Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj się. PIN kod nieprawidłowy. Witaj. Znajdujesz

się w menu głównym Felietonów — dział archiwalny, pasmo 3695.owww.llxx — nazwisko autora, które wybrałeś drogą cyfrową, to Joanna Szczepkowska. Aby potwierdzić, czy kolejność liter nazwiska jest prawidłowa, wybierz 0. Dziękujemy.

/ kwietnia 2006 r.

?

/

Pudełko na myśli

N. siedziała na krześle zupełnie otepiała. Patrzyła na mnie z takim zdziwieniem, jakbym to ja zrobiła coś złego albo przynajmniej coś, co nie mieści się w głowie. A przecież to ona przyszła przed chwilą z jakąś opowieścią, która miała mnie zdziwić. To ona powiedziała przez telefon:

— Muszę do ciebie przyjść, zrobiłam coś strasznego.

Co strasznego może zrobić normalna, dorosła kobieta na randce z normalnym, dorosłym mężczyzną? Co takiego może się wydarzyć, kiedy oboje czują, że odnaleźli się wreszcie po długim, skomplikowanym życiu pełnym niepowodzeń? Kiedy mogą to sobie nareszcie uświadomić na pierwszej prawdziwej randce, która zaczyna się w uroczej kawiarni? Otóż można. W każdym razie z tego, co mówi N., wynika, że można na przykład jak ona usiąść naprzeciwko takiego kogoś i powiedzieć: „Ja właściwie muszę już iść” — i wyjść.

— Dlaczego tak powiedziałaś? — patrzyłam na N. zupełnie przerażona.

— Nie mam pojęcia — powiedziała i wcisnęła się w krzesło jeszcze bardziej, jakby chciała schować się przed sobą. Przyglądałam się N. A raczej jej głowie. Tam w środku leży przedziwny kłębek myśli.

Mózg ma tyle lat, ile wszystkie nasze pokolenia razem. Ulega niewidocznej ewolucji, ale tak naprawdę tkwi

131

w całkowitej stagnacji. Wbrew ogólnym sądom mózg nie jest inteligentny. Po prostu wykonuje rozkazy. Jeśli powiesz mu na przykład: „Chcę być piękna”, natychmiast zabierze się do pracy. Jego skomplikowany organizm wyprzedzi ci tysiące pomysłów na to, jak grać rolę pięknej, choćbyś była podobna do kartofla. Jeśli nie dasz mu więcej rozkazów, tylko ten jeden, już niedługo same nogi zaprowadzą cię na aerobik, na basen, do fryzjera, znajdziesz pracę, dzięki której będzie cię na to stać. Twoje ruchy staną się powolne i kuszące, głos zmysłowy, z lekką chrypką jak u Marilyn Monroe. Mózg ucharakteryzuje cię na piękną tak dobrze, że nikt cię nie pozna.

Ale w tym celu mózg musi dostać jasny, prosty rozkaz. Niestety, wszystkie pokolenia zasiały w nim tysiące rozkazów, które prowadzą cię dziwnymi drogami, czasem donikąd. Jeśli na przykład prapraprababka N. zduszona gorsetem, który wpijał się w żebra, zasiała w mózgu myśl: „Lepiej się nie ubierać i przespać to potworne życie”, to ta myśl leży sobie tam przez wieki. Zapuszcza korzenie, produkuje soki, które wpływają na jej wybory, słowa, ekspresję. Choćby nie wiem jak N. chciała być szczęśliwa, wystarczy taka jedna stara myśl, żeby jej mózg posłusznie produkował małe dawki trucizny. Sprawia, że będzie chodziła z głową do dołu, już samą swoją sylwetką zapowiadając przegraną. Sprawia, że będzie miała cichy głos nieudacznika, a każde wypowiedziane przez nią zdanie zabrzmiałoby melodią beznadziei. Cały obszar podświadomości wypełni prapraprababka w ciasnym gorsecie, która szepcze: „Lepiej się nie ubierać i przespać to potworne życie”. I w uroczej kawiarni, na początku miłości, na początku pracy nad trudnym, dobrym życiem każe wstać i powiedzieć:

— Muszę już iść.

Mózg naprawdę nie jest inteligentny. Dlatego codziennie, uparcie trzeba mu mówić, o co ci chodzi. W końcu zrozumie i zacznie nad tym pracować. A wtedy same nogi zaprowadzą cię do celu. Tylko zasiej dobrą myśl. Jeśli nie dla siebie, zrób to dla swojej praprawnuczki.

15maja 2004 r.

?

>

??

» >

????????????????

Psychozabawa

Rzecz działa się w bibliotece u N., na tle książek Dosto-jewskiego, Prousta i Kafki. Rozmowa o tym, że wszystko się w nas kręci dzięki staremu i niedoskonałemu mechanizmowi, który jest kopiowany przez maszynkę rzucającą genami jak kulkami w totolotku. I teraz będziemy mogli je sobie poprzestawiać. Ta wizja wzbudziła w nas ogromne emocje, toteż argumenty sięgały wysoko — od Boga po konieczność naprawy degenerującej się ludzkości. Ja nic nie mówiłam, tylko patrzyłam na N. Dziwnie podekscytowany siedział na brzegu krzesła, uśmiechał się do wszystkich. Nagle powiedział: — To wszystko jest super — i uśmiechnął się szeroko. Ale nie miał nic więcej do powiedzenia poza tym uśmiechem. Skupiliśmy się więc nad pytaniem, czy aby różnorodność nie jest istotą świata i czy zmiany ludzkich niedoskonałości nie naruszają jakiegś równowagi.

Naraz N. wstał z krzesła i dziwnie podniesionym głosem, cały czerwony z podniecenia, dowodził, że taka na przykład korupcja w piłce nożnej jest piękna, a potem dodał, że piękny może być nawet pryszcz, i z całą prostotą zdjął spodnie, pokazując pryszcz na granicy uda i pośladków, a widząc nasze przerażenie, stwierdził, że przerażenie też mu się podoba. W końcu wyjawiał nam, że od dłuższego czasu jest na antydepresantach, które kompletnie zmieniły mu obraz świata. — Jakbym wi-

134

dział pod innym kątem — powiedział i wybuchł szczerym śmiechem.

Poszłam do pokoju, w którym bawiły się dzieci. Siedziały posępnie w kole podobnym do koła rodziców i wyglądało na to, że zaraz zaczną wzdychać nad miernotą literatury. I chyba dlatego powiedziałam: — Pobawimy się w film? — Wywołało to niezwykłą erupcję radości. Dzieci poderwały się na nogi i zaczęły szaleć po pokoju. W zasadzie nie robiły nic konkretnego poza skokami, wrzaskami, jakąś nieokreśloną gonitwą. Najwyraźniej samo słowo wystarczyło, żeby rozbudzić wyobraźnię, wyzwolić energię. I wtedy coś mnie podkusi-ło, żeby powiedzieć: — A teraz pobawimy się w teatr.

— W jednej chwili szaleństwo ustało. Dzieci usiadły skupione na podłodze, jakby w oczekiwaniu czegoś niezwykłego. Pomyślałam wtedy, że można by się wiele dowiedzieć z ich pierwszych emocjonalnych skojarzeń.

— Będziecie aktorami — powiedziałam i poprosiłam na środek jednego z chłopców. Mógł mieć jakieś sześć lat.

— Jesteś złodziejem. — Chłopiec w jednej chwili skulił się, schował głowę w ramiona i zaczął rozglądać się na boki. Ciekawe z tym skuleniem. Żaden złodziej przecież tak nie chodzi, bo w tej pozycji niczego by nie ukradł. Zrozumiałam, że

chłopiec pokazuje raczej duszę złodzieja, jego poczucie, że jest kimś innym niż otoczenie.

— A teraz jesteś głupim człowiekiem — powiedziałam, a chłopiec natychmiast uśmiechnął się szeroko i zaczął się drapać w głowę. Wszyscy drapiemy się w głowę, kiedy trudno coś wymyślić — to podświadome pobudzanie mózgu, ale skąd ten uśmiech? Dlaczego w najprostszym skojarzeniu człowiek głupi to człowiek uśmiechnięty?

135

— A teraz jesteś mądrym człowiekiem. — Chłopiec natychmiast spowaźniał. Po uśmiechu nie było śladu. Więc wyglądałoby na to, że mądrość nie sprawia nam radości. — A teraz jesteś dobrym człowiekiem. — Chłopiec uśmiechnął się, ale troszeczkę. To był taki uśmiech połączony ze smutkiem. Jakby troszkę z głupiego, troszkę z mądrego. — A teraz jesteś inteligentem — powiedziałam, a kiedy dziecko zapytało, co to znaczy, postanowiłam nie odpowiadać. — Nieważne. Rób to, co czujesz na dźwięk tego słowa. — Chłopiec się zgarbił, potem zmarszczył czoło i pochylił głowę. Kąciki ust poszły ku dołowi. Aż usiadł z tego ciężaru. Jest taki wiersz Gałczyńskiego o inteligencji — chłopiec był czystą ilustracją tej poetyckiej karykatury.

Dlaczego nie doznał erupcji radości na dźwięk słowa „inteligent”? Dlaczego nie skakał jak przy słowie „film”? Dlaczego nadał sam sobie kształt klinicznej depresji? — Jesteś człowiekiem utalentowanym — rzuciłam szybko, a chłopiec, wiedząc, że ma reagować na słowa bez namysłu, włożył ręce do kieszeni i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Był uosobieniem niepokoju. I tak go zostawiłam. Dzieci zaczęły się nudzić, a ja wróciłam do biblioteki, gdzie rozanielony N. pokazywał zdjęcia trzech wielkich psów, które wziął ze schroniska do swojego małego mieszkania, i mówił o swoich planach przebudowy kanałów w Holandii. Uśmiechał się przy tym rozkosznie. I dobrze. Depresja jest straszną chorobą. Tylko w tle ten Dostojewski, Proust, Kafka, Mann. Co byłoby na miejscu tych książek, gdyby ich autorzy dostali antydepresanty?

20 sierpnia 2005 r.

Drogi samobójco!

Napisałeś do mnie wstrząsający list. Przepraszam, jeśli cię urażę, ale jak na samobójcę to normalne. Wszystkie listy samobójców są wstrząsające siłą rzeczy. A więc masz 17 lat i chcesz z tym skończyć, bo czujesz się Nikim (nie rozumiesz, co czytasz, nie umiesz zapamiętać najprostszych zdań, nie możesz się skupić, więc nic z ciebie nie będzie), a jednocześnie czujesz się Kimś, i to bardziej od innych, tylko wiesz, że nikt tego w tobie nie widzi i nie zobaczy. Walka Nikogo z Kimś toczy się od rana do rana i jesteś tym wykończony. Napięcie nie do zniesienia. „I niech mi nikt nie mówi, że wystarczy zmienić myślenie — ja to wiem i czuję, że sobie nie poradzę. Moje przecucie jest silniejsze od waszych gadek. Ale w to i tak nikt nie uwierzy”.

Ja wierzę. Nie istnieje prawdziwsza prawda od przecucia. Żadna joga ani kursy terapeutyczne nie zatrą przecucia. To jest ziarno prawdy. A więc masz rację. Po prostu sobie nie poradzisz. Walka Kogoś z Nikim będzie narastała — raz zwycięży jeden, raz drugi — będziesz się porywał na rzeczy, które cię przerosną, wkrótce staniesz się pośmiewiskiem, a jednocześnie obiektem zazdrości. Zresztą ty przecież nie znajdziesz żadnej pracy, skoro nie możesz się skupić na kilku zdaniach. Będziesz się wałęsał po ulicach, aż skonasz z głodu, więc to

137

??????????????

wszystko na jedno wychodzi. Dlatego masz zamiar skoczyć z okna. Jak rozumiem, skoro jednak piszesz list, to może liczysz na radę lub pomoc. Proszę bardzo, oto moja rada. Zrób to. Naprawdę. Skocz z okna. Nie ma nic lepszego od skoku z okna. Mówię ci to z czystym sumieniem Ja. Twoja siostra. Samobójczyni. Tak, ja też kiedyś skoczyłam z okna. I co? Wiadomo co. Rozbiłam się o bruk i nie żyję.

Popełniłam samobójstwo, skacząc z okna swojego mieszkania.

Miałam wtedy 16 lat. W moim pokoju pachniało obiadem, który robiła mama, w kuchni stukwały garnki, słyszałam szum wody w łazience — to mój tata mył ręce przed jedzeniem. Siedziałam na krześle przodem do okna, za mną kręciła się mała chrypiąca płyta Beatlesów — Yesterday, o ile pamiętam. Moje przecucie nie spadło z zewnątrz — było czymś w rodzaju wewnętrznej fotografii — jakiegoś światła, obrazu przyszłości. Zawsze będę samotna. Nie dam sobie rady z codziennością. Jestem Nikim, ale mam siłę i wyobraźnię. Nie będę umiała jej użyć do końca. Będę obiektem plotek i zazdrości. Będę bezradna wobec ludzi. Wykończą mnie własne emocje.

Chyba nic już nie myślałam, kiedy podeszłam spokojnie do okna i otworzyłam je. Gramolenie się na parapet było trochę niezręczne, ale już potem, kiedy stałam w oknie, kiedy patrzyłam z góry na ulicę, poczułam spokój i siłę. Całe napięcie odeszło. Wiedziałam, że to, co chcę zrobić, ma głęboki sens i jest jedynym wyjściem. Pamiętam nawet gołębia, który chodził po chodniku. Podeszłam bliżej krawędzi, a moją ostatnią myślą przed skokiem było to, czy gołąb zdąży uciec, kiedy spadnę. Wtedy mama zawołała mnie na obiad. Miałam już jedną

138

nogę na zewnątrz i gdyby ktoś z przechodniów podniósł głowę, pewnie by krzyknął. Stałam tak jeszcze kilka sekund, cofnięcie nogi nie było łatwe. Ciężar ciała już był po tamtej stronie.

Siedziałam przy stole, przyglądając się rodzicom. Jedli zupę jakby nigdy nic. Nie wiedzieli, że ja przecież nie żyję, i nigdy się nie dowiedzieli. Nikt zresztą tego nie zauważył... Tak więc, bracie samobójco, ja nie żyję od 16. roku życia. Przeżyłeś mnie o rok. A skoro nie żyję, mogę wszystko — mogę się ośmieszyć, pokazać słabość i siłę, przyjąć kary i nagrody, mogę powiedzieć, co myślę, mogę robić rzeczy, których bym nigdy w życiu nie zrobiła. A co z moim Wielkim Przecuciem? Sprawdziło się co do każdego szczegółu. Nie patrz na zdjęcie. Jestem bardzo smutnym człowiekiem jak każdy samobójca. Ale też jako samobójczyni zrobiłam wiele rzeczy, na które nie odważyłabym się za życia. Wiele rzeczy, z których jestem dumna, czego i tobie życzę...

Skacz, a potem rób, co chcesz.

Żegnaj.

4 marca 2006 r.

Prezent

To się zdarzyło naprawdę. Uprzedzam o tym, bo zwykle wymyślam historie i ich bohaterów. Stałam w kolejce na jednym z dworców w Polsce i jak zwykle nie mogłam się powstrzymać od gapienia się na dworcowych „tubylców”, z połamanymi nosami, o twarzach rozbitych, podpuchniętych, posiniaczonych. Skupieni w grupach, strasznie coś krzyczą do siebie, o coś tam się biją, odbiegają od grupki, jakby mieli niezwykle ważne sprawy, wracają po chwili. Gdyby ich ubrać inaczej, mogliby sprawiać wrażenie grupy trzymającej władzę w jakimś szczególnie decydującym momencie.

Zawsze jak zahipnotyzowana gapię się na nich, na ich energię podszytą alkoholem lub głodem alkoholu, na ten ich agresywny świat zastępujący wszelkie możliwe

emocje. Gapię się, toteż wielokrotnie obrywam. Tym razem kobieta z grupki wypatrzyła mnie w kolejce do kasy i wrzasnęła na cały dworzec: — Co się gapisz, ty...! — i tak dalej.

Odwrociłam głowę, ale to nic nie dało. „Lwica” postanowiła odstraszyć mnie od terenu raz na zawsze. Po chwili poczułam przy sobie zapach wódki i starych szmat. Chwiejąc się na nogach, kobieta patrzyła na mnie oczami, z których jedno było tylko szparką otoczoną sińcami.

140

— No co się gapisz? — wycharczała chwiejąc się na nogach, a potem to już poleciała wiązanka wszystkich możliwych życzeń, jakie może złożyć kobieta kobiecie. Udawałam słup soli, czy raczej osobę głuchą, bo było to jedyne wyjście obronne z tej sytuacji. W dużym stopniu czułam się winna. Rzeczywiście, nie powinnam była się gapić, a gapiłam się na nią właśnie, i to bardzo uważnie, ale powodem nie była jakaś niezdrowa ciekawość. Powodem była jej grzywka. Po prostu ta kobieta, czy też raczej wspomnienie po kobiecie, miała bardzo starannie ułożoną grzywkę. Nie jest łatwo ułożyć taką grzywkę, zwłaszcza że reszta włosów, które wystawały spod dziurawej czapki, była splątana i przyprószona jak u starej lalki. W ogóle cała była trochę taka, jakby ulepiło ją z plasteliny niecierpliwe dziecko. Czoło powgniatane, jedno oko niżej, drugie wyżej, nos przykłaśnięty, połamany, uszy sinoczerwone. Gdzie, kiedy, jak i po co układała sobie tę grzywkę? Kobieta rozwrzeszczała się na dobre. Nie mogąc zwrócić mojej uwagi, przerzuciła się na mężczyznę stojącego przede mną. Usłyszał wszystko, co mowa może wyrazić w sprawie ludzkiej anatomii i związanych z nią możliwości. I nagle... mężczyzna odłożył swoją teczkę, chwycił kobietę za kurtkę i rzucił o ziemię. W dworcowej grupce zrobił się ruch. Myślałam, że zaatakują mężczyznę, ale nie... otoczyli kobietę i zbiorowym śmiechem zachęcali go do działania. Straszne i niepojęte są prawa dworca.

I wtedy ja wyszłam z kolejki. Podeszłam do grupki, odepchnęłam mężczyznę, podniosłam „lwicę” z ziemi, a kiedy stanęła na nogach, przytuliłam ją. Tym razem wszyscy gapili się na mnie. A ja trzymałam tę kobietę tak

141

blisko, jak tylko mogłam, żeby przekazać jej swoje ciepło i najlepszą energię. Była chyba najbardziej zdziwioną osobą na całym dworcu. Stała w tych moich ramionach jak szmaciana lalka. Potem wróciłam do milczącej kolejki, gdzie każdy udawał, że go nie ma. Czy dałam coś tej osobie? Nie wiem. Może więcej niż pieniądze, może mniej — z pewnością dałam coś, czego nie miała od dawna i teraz będzie już z tym żyć. I ludzie z kolejki też. Taki rodzaj prezentu przed świętami.

I jeszcze dwa słowa dla porządku. To opowiadanie jest prawdziwe tylko do słów „niepojęte są prawa dworca”. Reszta to wytwór wyobraźni. Nie zrobiłam tego, choć chciałam, i co ja o sobie w związku z tym myślę, to umie wyrazić tylko tamta kobieta.

11 grudnia 2005 r.

Uwaga

Żeby cokolwiek zrobić, muszę robić coś innego. Każdy, kto uważa, że to zdanie nie ma sensu, może przestać czytać ten tekst. Jest to dla niego strata czasu i energii, którą wykorzystuje na pewno dobrze i pożytecznie. Dalej. Nie widzę u ludzi bród, wąsów i okularów, tak jak dyslektyk nie widzi szyku liter. Jeśli uważasz, że niemożliwe jest przewrócenie kartki — to nie dla ciebie. Dalej. Opisując kiedyś drogę do mojego domu, opisałam ulicę tak, jak wyglądała lata

temu. Nie zauważyłam, że większość domów wyburzono i zamieniono na inne. Każdy, kto uważa, że przesadzam, powinien przejść do innej lektury. Ten tekst jest przeznaczony tylko dla tych, którzy teraz właśnie odczuwają niepokój, czy uda im się to przeczytać do końca, bo zawsze w połowie czytania odpływają w zupełnie inne rejony. Jest przeznaczony dla tych, którzy rozłożyli teraz gazetę na stosach kartek zapisanych telefonami bez nazwisk, nie otwartymi kopertami, początkami planów kariery, początkami wierszy, początkami pomysłów na założenie firmy, jakiej dotąd nie było, i wszelkimi innymi początkami, które nigdy nie doczekały się końca. Uwaga! Jeżeli ten tekst wydaje ci się dziwnie bliski, idź i wyprowadź psa, bo przecież myślisz: „Po co ja tu siedzę i czytam, kiedy w tym czasie powinienem robić coś innego?”. Tylko nie zapomnij klu-

143

czy. Trzeci od kółka. Trzeci klucz od kółka to jest ten, którym codziennie otwierasz drzwi, a mimo wszystko nie potrafisz tego zapamiętać. I nienawidzisz siebie za to. Natomiast wielokrotnie zapamiętałeś lub wykonałeś rzeczy, których nie zrobiliby ci, którzy wiedzą, jakim kluczem co się otwiera. Ale nie umiesz się z tego ucieszyć. Kiedy próbujesz siebie ocenić, obraz się zamazuje i nawet nie bardzo możesz sobie przypomnieć swoją twarz, prawda? Mówię do ciebie. Nie odpływaj myślami. Do ciebie mówię właśnie — do ciebie, który myślisz teraz, że gdybyś spożytkował dobrze swoją energię, to napisałbyś znacznie lepszy tekst niż ten. Chodzi o to, że mimo zdolności, które widzą w tobie wszyscy, nie realizujesz swoich planów. Wiele z nich opowiedziałeś innym i zabrano ci je sprzed nosa, wiele zrealizowałeś w myślach i czujesz się tak zadowolony, jakby zaistniały naprawdę. Tylko z jakiegoś powodu nie jesteś tak bogaty, jak powinieneś, a nie otwarte koperty z upomnieniami z wszelkich urzędów są coraz grubsze. Całkiem możliwe, że nie doczytasz tego tekstu do końca, bo wyłączą ci prąd. Telefon milczy, dlatego że wszystkich już obraziłeś, spóźniając się wszędzie albo mówiąc coś pod wpływem impulsu, który był szybszy niż zdrowy rozsądek. Więc zanim zgaśnie u ciebie światło, zanim wszyscy znajomi się od ciebie odwrócą, zanim zgorzkniejesz w poczuciu rosnącego chaosu, idź do księgarni i kup sobie książkę Edwarda M. Hallowella i Johna J. Rateya *W świecie ADHD*. I nie słuchaj dobrych rad, że ADHD jest nowinką psychiatryczną, która przeminie, że pod wpływem tej mody ciąga się dzieciaki do psychiatrów, że z tego się wyrasta, że dorosłych to nie dotyczy. Dotyczy. Zespół zaburzeń uwagi jest czymś więcej niż diagnozą pewnych

144

zachowań. Jest kluczem do zrozumienia zjawisk dręczących od wieków ludzi, których przytłacza codzienność, którzy mają poczucie niemocy, kłopoty z poczuciem czasu i przestrzeni. Jest wiele odmian zaburzeń uwagi, ale rozpoznanie u siebie tej niemocy jako czegoś, co da się sklasyfikować medycznie, przynosi ogromną ulgę. Wiem, co mówię, ale ADHD można przechytryć. Stos niezrozumiałych kartek i pogubione klucze można zamienić w energię życia. Trzeba tylko pomagać sobie nawzajem, tak jak pomagają sobie najróżniejsze grupy wsparcia. I ja zakładam taką grupę. Zobaczmy, co się da zrobić. Zaczynam na swojej stronie www.szczepkowska.pl. Jest to strona nieporadna i niezorganizowana, ale od czegoś trzeba zacząć. Początki to w końcu nasza specjalność.

15 października 2005 r.

Dysfunkcja

Po felietonie Uwaga zaproszono mnie do radia, żebym powiedziała coś więcej o Zespole Dekoncentracji Uwagi. Zgodziłam się chętnie, bo jakkolwiek nie jestem

znawcą od strony medycznej ani naukowej, to jednak mogę służyć z powodzeniem jako eksponat czy godny reprezentant gatunku.

W czasie audycji zgłaszali się słuchacze — oczywiście, jak to ludzie z Zespołem Dekoncentracji, zgłaszali się trochę za późno, mylili numer i tak dalej, a kiedy wreszcie udało im się dodzwonić, nie wszyscy pamiętali, w jakiej sprawie dzwonią, ja nie bardzo pamiętałam, jaki jest temat rozmowy, ale wreszcie wyszła z tego żywa audycja, z której jasno wynika, że większość ludzi odkrywa w sobie symptomy tej ułomności, co jest charakterystyczne dla każdej choroby, o której aktualnie czytamy lub mówimy.

Tak więc trochę czasu zajęło tłumaczenie, że każdy człowiek z ADHD jest roztargniony, ale nie każdy roztargniony ma ADHD. W felietonie Uwaga zapowiedziałam też, że na swojej stronie internetowej (www.szczepkow-ska.pl) czekam na listy od tych, którzy czują się dotknięci taką dysfunkcją, ale nie zapowiedziałam, że jako osoba nią dotknięta nie będę umiała na razie z własnej strony korzystać — mam nadzieję, że do czasu ukazania

146

się tego tekstu już się nauczę. Słuchacze audycji dzwoniли też potem długo po czasie antenowym i kiedy w rozmowach sugerowałam pójście do psychologa lub psychiatry, większość narzekała, że psychiatrzy mają tak odległe terminy zapisów, że do tego czasu pacjent i tak zapomni o wizycie, skoro ma ze sobą problemy. Wynika z tego prosty wniosek, że coraz więcej ludzi odkrywa u siebie coś, co nie pozwala im funkcjonować w określonych normach.

I na tym w zasadzie można by zakończyć, gdyby nie telefon od pewnej zatroskanej matki. Otóż opowiedziała mi, że jej syn ma poważne kłopoty w szkole. Jest przenoszony z jednej do drugiej, w żadnej nie może sobie znaleźć miejsca, nie pasuje do kolegów, męczy się z nimi, a oni z nim. — Jak rozumiem, pani syn ma ADHD? — zapytałam zgodnie z tematem audycji. — Nie. Nie ma żadnych takich objawów. — A zatem szczególną nerwicę? Jest nadwrażliwy, załęczniony, dyslektyczny, ma kłopoty z asertywnością? — Nie. Nie ma żadnego z tych problemów i o to właśnie chodzi. Mój syn jest całkowicie normalny. — Czyli w normie? — zapytałam. — No właśnie chyba nie bardzo w normie, skoro większość jego kolegów coś ma. A mój syn jako normalne, przeciętne dziecko czuje się inny od reszty. Słuchałam tej kobiety, której syn jest przenoszony ze szkoły do szkoły z powodu swojej normalności, i doszłam do wniosku, że problem może być poważniejszy, niż się wydaje. Zajmujemy się albo dziećmi szczególnie uzdolnionymi, albo szczególnie dotkniętymi przez los. A co z normalnie kształtującym się człowiekiem? Jakie jest jego miejsce wśród znerwicowanego społeczeństwa? Czy ten przykład nie jest pierwszym dzwonkiem, że brak

147

nerwicy może być powodem osamotnienia? Ze tacy ludzie mogą należeć do szczególnej mniejszości? Jeżeli tak, to kalendarze psychiatrów zapelnia się niedługo po brzegi i na lata. Będziemy chodzić do nich z palącym problemem: — Panie doktorze, nie mam żadnej nerwicy... Czy nie można by jakoś temu zaradzić?

29 października 2005 r.

Nierozłączki

Osobno nie widziano ich chyba nigdy. Jedna z nich, ta od prawej, ma na imię Anna. I nikt nie mówi do niej inaczej — nigdy „Aniu” czy „Anuś”, czy „Anulko”, zawsze „Anno”. Być może dlatego, że od dziecka ma taki dostojny wygląd, ale może właśnie dlatego ma taki wygląd, że nikt nie mówił do niej nigdy „Aniu”. Teraz

już zresztą za późno. Anna ma 53 lata i bardzo poważne stanowisko, więc trudno sobie wyobrazić, żeby pracownicy ogromnej instytucji, na której czele stoi Anna, mówili do niej na przykład „Anulko”. Anna wygląda świetnie jak wszystkie kobiety, które stać na to, żeby wyglądały świetnie. Wszystko — od eleganckich blond włosów po francuski pedi-kiur — jest w najlepszym guście, wszystko wypieszczone przez czułe kosmetyczki, wszystko jakby z nutką jedwabiu. Anna mówi biegle w trzech językach — po angielsku, francusku i niemiecku. Jeżeli chodzi o francuski, to wychowała się we Francji, spędziła tam dzieciństwo, kiedy jej rodzice byli na placówce, więc jest to język przyswojony naturalnie i Anna właściwie woli czytać po francusku niż po polsku, zwłaszcza literaturę piękną, na co kiedyś znajdowała więcej czasu, dziś to się trochę zmieniło, a szkoda, bo jej przyjaciele lubią dyskutować o nowinkach literackich. Zresztą coraz rzadziej spotykają się w jej mieszkaniu, które — jak mówi pewna Ukrainka

149

— jest „piękne jak świątynia”. Anna jest zawsze świetnie ubrana. To, co ma na sobie na przykład teraz, utrzymane jest w tonacji łososiowej, nawet sandały mają cieniutki, subtelny łososiowy pasek, który świetnie harmonizuje z lakierem do paznokci. Teraz lakier trochę schodzi, co w milczeniu stwierdza druga z nich. Ta od lewej.

Naprawdę ma na imię Wieśka, czyli Wiesława, ale nazywają ją „Piękna”. Nie pamięta, dlaczego, ale tak ktoś do niej kiedyś zawołał... i kiedy ma lepszy humor, od razu mówi: „Jestem Piękna”. Ale „Wiesława” nikt nigdy do niej nie powiedział. Piękna właściwie w ogóle nie ma twarzy, tylko jakiś zlepek gór i dołków, sińców i plam. Ten największy dołek jest od siekiery, jak mówi, pokazując w uśmiechu szerniałe zęby. Jest nieduża i krzywa jak i jej mamusia, która też była krzywa, ale ogromna, więc może ojciec był mały, Piękna jednak nie wie, jaki był. Kto by tam zliczył tych tatusiów, co do matki przychodzili. Zresztą to koledzy byli z meliny. Piękna ma coś około 50 lat, a może 30. Nie wie. Najbardziej toby chciała mieć piękne włosy, a nie te trzy pióra, które farbuję na rudo, jak znajdzie jakąś tubkę po farbie na śmietniku. Tylko że nie obcina włosów i robi się taki kołtun nawet po myciu. I ten kołtun właśnie rozczesuje teraz Anna. Kiedy Piękna umyje włosy, zawsze Anna bierze szczotkę i czesze Piękna. Potem Piękna czesze Annę. A potem idą na mały spacer. Nic do siebie nie mówią. Czasem coś poprawią, jeżeli na przykład jakiś obrazek wisi nie tak albo komuś coś spadnie. Lubią robić ludziom herbatę. Zaglądają do kubków i jeżeli któryś jest pusty, zabierają i wracają z pełnym. Bo trzeba dużo pić. Bardzo dużo pić, żeby odtruc organizm. To wszyscy wiedzą na oddziale odwykowym.

11 czerwca 2005 r.

Oni

Para to coś innego niż dwoje ludzi. Prawdziwa para zdarza się rzadko. Patrzy na sprawy i rzeczy oczami drugiej połowy. Mówi o sobie „My” i nigdy inaczej. Widząc coś godnego uwagi, sprawdza, czy druga połowa też to widziała. Jeśli nie widziała, to tak, jakby tego czegoś nie było. Przed najdrobniejszą decyzją para musi się upewnić u swojej połowy choćby spojrzeniem. Para jest całością bez względu na okoliczności.

Najpierw poleciało szkło, a potem usłyszałam krzyk kobiety. Był mieszaniną agresji i strachu. Przez rozbitą szybę leciały na przemian przekleństwa i błagania

O pomoc. Najdziwniejsze było jednak to, że ludzie idący obok tego domu nie zwracali na krzyk najmniejszej uwagi. Odeszli tylko dalej od okna, bo pękło po

raz drugi, a krzesło wbiło się w szybę i upadło na parapet. Towarzyszył temu potworny ryk mężczyzny. Wył jakoś pierwotnie, naprawdę przerażająco, a ludzie nic. Tylko ja się zatrzymałam wpatrzona w rozbitą szybę, za którą nic nie było widać.

— Oni tak zawsze — mruknął jakiś mężczyzna, przechodząc obok mnie. — Tłuką się od lat. Kiedyś się zabijają. Tak się złożyło, że zaczęłam bywać w tej dzielnicy.

1 pewnego dnia ich zobaczyłam. Stali w bramie domu z rozbitym oknem — nie było wątpliwości, że to oni.

151

Stali nieruchomo, wpatrzeni w ulicę i wyglądali jak przyprószeni wapnem. Może zresztą jakaś ściana na nich spadła, ale to raczej była szarość skóry. On miał złamany nos i wypukłe czoło alkoholika, ona długie siwoszare włosy zwisające spod beretu. Byli tego samego wzrostu, wysocy, chudzi i jakby nieobecni. Dopiero po chwili zauważyłam, że są kompletnie pijani. Nagle odwrócili się jak na komendę i weszli do domu. I zaczęło się. Wycie, wrzaski, łomot mebli. Kilka dni później znowu stali w bramie. Podeszłam i zapytałam: — Przepraszam, gdzie tu jest sklep spożywczy?

Nawet na mnie nie spojrzeli. Spojrzeli na siebie.

— My nie chodzimy do spożywczego — i oboje tak się do siebie uśmiechnęli, jakby to było coś bardzo dowcipnego. Potem ona zobaczyła coś na ziemi i od razu spojrzała na niego. To był papierek podobny do pieniądza. On podszedł do papierka i spojrzał na nią. Ale to nie był pieniądz, więc spojrzeli na siebie i on wyrzucił papierek. Potem popatrzyli na wystawę cukierni, weszli do środka i wyszli z ekierką. On odgryzł kawałek, a potem podał jej i patrzył, jak gryzie. Miałam wrażenie, że dopóki ona nie połknie, on nie poczuje smaku. Ona go o coś spytała, on sięgnął do kieszeni i coś powiedział. Ona zaczęła na niego wrzeszczeć. Potem weszła do bramy i wróciła, żeby go popchnąć. Wtedy on zaczął krzyczeć. Poza przekleństwami i wyzwiskami krzyczeli jakieś daty i imiona, że „Zdzisiek wczoraj, nie wczoraj, kurwo, tylko jutro”, a ona go za to słowo „jutro” uderzyła po głowie i odeszła. I wtedy pod bramę zajechał żółty sportowy samochód. On znieruchomiał z zachwyty i zawołał w kierunku bramy: — Chodź tu! No chodź tu, kurwa!

152

Wbiegł do bramy i przyprowadził ją na ulicę. Stała obok, czekając, aż on się napatrzy. Potem weszli do domu. Jeszcze kilka razy widziałam ich przed bramą — przyprószonych, posagowych, pijanych, ze śladami walki. Czasem w bramie stało tylko jedno z nich i wtedy tych śladów było więcej.

— To pani piesek? — spytałam, kiedy obok niej kręcił się w bramie pokraczny kundelek. — Nie. My nie mamy psów — mruknęła, zasłaniając włosami podbite oko. Ostatnio on stał w bramie sam i wtedy na ulicy wydarzyło się coś bardzo śmiesznego — zabawa wiatru z kapeluszem pewnego pana. Cała ulica pękała ze śmiechu, kiedy kapelusz podskakiwał po chodniku, latał w powietrzu i nie dawał się złapać. Tylko on stał w bramie i przyglądał się temu ponuro. Czasem zerkał na rozbite okno, ale za szybą nikogo nie było. Im więcej ludzi się śmiało, tym bardziej on robił się ponury. Nic dziwnego. Jest to przecież bardzo smutne, kiedy coś wesołego widzi się tylko w połowie.

16 kwietnia 2005 r.

Niby nic

Wychodząc z domu, zwykle bardzo wolno zamykam drzwi na klucz. Jest to czas, jaki daję sobie na przemyślenie. Być może nawet zamykam wtedy oczy, bo jest to rodzaj

modlitwy. Czy raczej próba oceny stanu ducha. Czy jestem dostatecznie silna, żeby dzisiaj tego nie zrobić?

Powoli wyjmuję klucz z zamka, oczekując odpowiedzi. I zwykle ją dostaję. Tak. Jestem silna. Wychodzę na ulicę z poczuciem ulgi. Dotykam kieszeni płaszcza. Jest tam zwykle kilka czarnych cienkopisów. W drugiej też. Idąc ulicą, myślę, czy nie przejść na drugą stronę. Za szybą sklepu dobrze znana mi kobieta podnosi głowę i patrzy wyczekująco. Uśmiecham się do niej i mijam sklep jak każdy inny na mojej ulicy. Chociaż powinnam kupić zeszyt. Muszę zrobić trochę notatek, a nie mam zeszytu. Myśl o zeszytce rośnie w głowie jak ciasto. Wywołuje panikę. Zeszyt jest niezbędny. Dlaczego właściwie nie miałabym wrócić do tego sklepu i kupić sobie niezbędnej rzeczy? Skoro czuję się na tyle silna, żeby nie zrobić dzisiaj tego, co jest idiotycznym i niepotrzebnym wydatkiem? Zawracając w stronę sklepu, czuję ulgę i radość.

Lubię ten sklep. Lubię zapach nowych papierów, tuszu i cynamonowej herbaty, którą pije ta kobieta. Wchodząc do środka, czuję się jak u siebie, otoczona stosami papeterii, kolorowych kartek, farb, ołówków, zeszytów.

154

Kobieta za ladą patrzy na mnie jak zwykle z uśmiechem połączonym ze zdziwieniem. Czy jest w tym coś złego, że się ma chociaż jedno miejsce, w którym człowiek czuje się dobrze? Jeżeli wszędzie w zasadzie czuję się źle? Jeżeli wszystko jest na mojej głowie? Jeżeli podobno na skutek ogólnego ocieplenia klimatu mają nas wszystkich niedługo zalać roztopione kry lodowe? I co w tym złego, że w tej sytuacji pozwolę sobie na chwilę niezrozumiałej dla nikogo przyjemności?

Czy ktoś rozumie, czym jest dla mnie cienka czarna kreska, która pojawia się na białej kartce i wije się tak, jak chcę? Nawet ta kobieta ze sklepu nie rozumie, chociaż już bez mojego pytania kładzie przede mną kilka czarnych cienkopisów. A może rozumie. Jest uzależniona od cynamonowej herbaty. Powiedziała mi kiedyś, że tylko myśl o cynamonie skłania ją do tego, żeby wstać z łóżka i pójść do sklepu. Przeczytajcie Nałogowego człowieka Anny Dodziuk i Leszka Kaplera. Ta książka prześwieca was do granic zdumienia. Do listy ujawnionych tam możliwości uzależnień dodam swoją, niepełną być może, ale w miarę szczerą.

Tak więc uzależniona jestem od: rysowania parasolek, niepokoju, porannej kąpieli, tabletek nasennych, wspomniania dzieciństwa, układania limeryków, chodzenia po galeriach obrazów, od śliwek kalifornijskich, kawy, przeświadczenia, że jestem beznadziejna, przeświadczenia, że jestem wspaniała, od sałatki Cezar, od sklepów dla malarzy, od kupowania klipsów, od serwisów informacyjnych, od myśli, że skończę na bruku, od chodzenia szybko i bez celu, od wiersza Szymborskiej Cebula, od głaskania psów, od X, od patrzenia na ludzi z margi-

155

nesu, od mojej niani, której już nie ma, od studiowania sufitu, od wychodzenia z domu, od kupowania kaset do nauki języków obcych, od Anioła Stróża, od uczucia, że wszystko oprócz mnie jest fikcją, od lęku, że stanę się podobna do swoich wrogów, od filmu Kabaret, od mojego mieszkania, od Pojezierza Mazurskiego, od białego wina, od oglądania filmów przyrodniczych, od całowania w policzek na dzień dobry, od morderczych myśli w pociągu, od chęci czynienia dobra, od kupowania książek popularnonaukowych.

I od kupowania czarnych cienkopisów. I od myśli, że to wszystko to JA i że bez tego wszystkiego mnie nie ma. A to nieprawda. Przeczytajcie Człowieka nałogowego.
8 stycznia 2005 r.

Nieobecna

Kiedy ją zobaczyłam za szybą kawiarni, jak film przesunęło mi się nasze pierwsze spotkanie. Stała otoczona gośćmi jakiegoś przyjęcia, rozdawała wizytówki, każdemu coś szepnęła, każdego ścisnęła za rękę, coś obiecywała, radziła, patrząc głęboko w oczy. Sam urok. Pamiętam, że wspomniałam coś o masażu. Wzięła mnie za rękę i powiedziała stanowczo:

— Proszę odwołać swój masaż. Polecam pani moją masażystkę. Genialna.

— Zadzwoń do pani — powiedziała, zwracając się do innej osoby, której polecała sklep z materiałami. Pomoże wybrać. Spotka się. Zadzwoń. I w sprawie wycieczki do Tajlandii też zna świetne biuro. Pójdzie tam i załatwi.

Oczarowana N. odwołałam swój masaż i czekałam na telefon. Bez skutku.

No cóż, trudno, żeby osoba tak zajęta pamiętała o wszystkich, którym pomaga.

Więc ja zadzwoniłam. Odebrało małe dziecko:

— Tu Michaś. Mamy nie ma.

— A kiedy będzie?

— Nie wiem.

Za dwie godziny to samo.

— Mamy nie ma.

157

— A kiedy będzie?

— Nie wiem — odpowiedział chłopczyk, ale wtedy w tle usłyszałam wyraźnie głos N.:

— Kto dzwoni?

Trzask słuchawki. Dziwne to było. Dzwoniłam do pracy. Nie ma dzisiaj. Może jest w domu. A w domu znowu:

— Mamy nie ma.

— Przecież słyszę, że jest.

— Nie. Nie ma. Trzask słuchawki.

Na jakiejś wystawie poznałam byłego męża N. — Ur-wisek z pana synka. Mówi, że mamy nie ma, a słyszę, że jest. Mężczyzna odpowiedział jak wszyscy, którzy mówili o N. Sucho i krótko. „Mój syn mówi prawdę. Jej nie ma”. Chyba nie można lepiej określić wiecznie pijanej matki. Ciągle coś załatwia, robi wielkie plany, tworzy całą sieć jakichś fikcyjnych pomocy, a potem ucieka za pomocą butelki. I tak to będzie, dopóki nie zrozumie, że musi iść na normalną, grupową terapię. Że jest po prostu chora.

No i teraz właśnie wchodziłam do kawiarni, gdzie czekała na mnie uśmiechnięta, rozradowana N. Nie pije. Od tygodnia. Sama się wyleczyła. Bez żadnych terapii.

Zawsze wiedziała, że jest na tyle silna, żeby przestać. I synek odżył.

Codziennie czeka na nią z kogłem-mog-lem, bo to jedyna potrawa, którą umie zrobić, a taki jest szczęśliwy, że ma trzeźwą mamę, która w dodatku zakłada restaurację. To będzie coś wyjątkowego. Nowe życie.

I ma dla mnie masażystkę. Genialna. Może ja chciałabym wypić kieliszek wina? Jej to nie przeszkadza. Teraz,

158

kiedy już wie, że nie pije, spokojnie może wypić kieliszek wina... Jeden to nawet zdrowo. Ostatni w życiu kieliszek. N. wypła go duszkiem.

Wysłałam z kawiarni pod jakimś pretekstem. N. piła już trzeci ostatni. Potem widziałam ją przed domem. Usiłowała włożyć klucz do zamka. Za drzwiami stał pewnie Michaś z kubkiem pełnym kogła-mogła.

13 listopada 2004 r.

fl znajdziecie

Czy często zdarza się wam szukać tropów dinozaurów w Górach Stołowych? Mnie też rzadko. A mój przyjaciel N. szuka. Od lat. Pewnie dlatego zresztą jest moim przyjacielem. Być może już o tym pisałam, ale powtórzę jeszcze raz: zdanie Chrystusa „Szukajcie, a znajdziecie” jest genialne nie tylko dlatego, że dodaje siłę do osiągnięcia celu. Wystarczy pierwsze słowo jako odpowiedź na pytanie, jak żyć. Po prostu „szukajcie”.

Szukając, nie zawsze znajdziesz to, co jest przez ciebie nazwane. Natomiast po drodze znajdziesz ludzi, którzy szukają tego samego. Nawet jeżeli są to tropy dinozaurów w Górach Stołowych. A znalezienie ludzi, którzy szukają tego samego, jest wartością znacznie wyższą od samego celu.

Już dawno zauważyłam, że moich przyjaciół nie mogłabym posadzić przy jednym stole. Nic ich nie łączy oprócz jednego: wszyscy czegoś szukają. N. — tropów dinozaurów w Górach Stołowych. B. — sposobu uwolnienia się od miłości do kogoś, kogo kochać jej nie wol-

?

no. Szuka w książkach, w alkoholu, w ekstremalnych podróżach, co jakiś czas mówi mi z uśmiechem, że już znalazła. Niestety, oczy mówią co innego. Szuka od lat, a po drodze znalazła mnie... K. szuka dużych pieniędzy. Szukając, znajduje ludzi, których małe też nie interesują. G. szuka matki, która oddała ją do domu dziecka.

Szuka-

160

jąc, znalazła swoją siostrę, o której nie miała pojęcia. D. szuka niedopitych puszek z colą. Szukając, znalazł takiego, co szuka pustych.

Co do mnie, to należę do osób szukających najprzeróżniejszych sposobów i powodów szukania. Stąd moi różni i przypadkowi przyjaciele.

A czego szuka R.? Musi czegoś szukać, bo inaczej bym się z nim nie przyjaźniła.

Zastonięty stosem książek, płyt i rysunków siedzi w domu i słucha muzyki. Jest chudy jak postacie z malowideł afrykańskich. Kiedy proponuję, żeby zjadł talerz makaronu, patrzy na mnie, jakbym powiedziała, żeby poleciał na Marsa. To zresztą byłoby prostsze. On leci znacznie dalej razem ze swoją muzyką, którą komponuje, kiedy nie słucha innej muzyki. Kiedy pierwszy raz słuchałam tych kompozycji, miałam wrażenie, że oddalam się od ziemi w zastraszającym tempie.

— Czy ktoś słuchał tego, co komponujesz? Co mówili?

— Nikt nie słuchał.

— Nie masz potrzeby podzielenia się tym z szerszą publicznością?

R. nie ma takiej potrzeby. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam jego rysunki, miałam wrażenie, że stykam się ze światem, którego jeszcze nigdzie nie widziałam. W żadnej galerii sztuki, na żadnej wystawie.

— Czy ktoś widział te rysunki?

— Ty widziałas.

R. nie szuka poklasku, nie szuka potwierdzenia i akceptacji, nie ma potrzeby triumfu ani jedzenia, szuka dźwięków i kresek, nie wychodząc z domu. W ten sposób nie znajdzie podobnych sobie.

Ale jedno jest pewne. Szukając powodów do szukania, ja znalazłam R.

21 sierpnia 2004 r.

Pierwszy raz

— Czy ty pierwszy raz do nas idziesz? — N. jak zwykle nie mogła pojąć, że nie pamiętam adresu.

— Nie, po raz szósty, ale w jakimś sensie pierwszy.

— W jakim sensie?

— Bo po raz pierwszy idę do was po raz szósty.

— O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to, że zawsze jest pierwszy raz. Nigdy jeszcze nie byłam u was po raz szósty, więc to jest jednak zupełna nowość. Nie wierzę w to, że człowieka uczy powtarzalność zdarzeń. Matka pięciorga dzieci nie jest osobą bardziej doświadczoną od matki trojga dzieci, bo ona pierwszy raz ma pięcioro, a to jest zupełnie co innego niż sześcioro czy troje. Chodzi mi o mit „pierwszego razu”, „pierwszej miłości”, „pierwszego mieszkania” — a przecież drugie mieszkanie jest pierwszy raz drugie i...

— Słuchaj, ja naprawdę nie mam czasu na twoje filozofie, zwłaszcza że mają usprawiedliwić bałaganiarstwo. — N. jest kobietą konkretną i nie cierpi „odjazdów wyobraźni”: — Przyjdź punktualnie, przynieś coś małemu i nie zapomnij złożyć życzeń mojej babci.

— To babcia ma urodziny?

— Tak, ale nie jakieś okrągłe, kończy osiemdziesiąt trzy lata. Najważniejsze, że przyjeżdża dzisiaj Paweł. — N. mruknęła adres i położyła słuchawkę.

162

Miała powody do zdenerwowania. Paweł był przecież wielkim pianistą koncertującym na całym świecie, a teraz miał pierwszy raz przyjść do maleńkiego mieszkanca przyjaciół z młodości. Wydawało się, że nie przyjmie zaproszenia, zwłaszcza po swoim jubileuszowym koncercie, kończącym dwudziestolecie wielkiej kariery. Przynależał jednak złożyć życzenia babci, którą pamiętał z młodości jako uroczą osobę, a przede wszystkim obejrzeć półtorarocznego syna N., co stało się rytuałem tego domu, jak wszędzie zresztą, gdzie pojawia się pierwsze dziecko. Kiedy weszłam do mieszkania N., mały, różowy chłopiec wiercił się na kolanach babci.

— No i co? — zapytała N., patrząc na jego maleńkie rączki.

— Zjawisko — powiedziałam, nie spuszczać oczu ze staruszki, którą czas z każdym rokiem malował sub-telniejszymi kolorami. W jej świetlistej cerze i siwych włosach było coś niewinnego i czystego. Ona kojarzyła się z czymś nowym i pierwszym, była znacznie piękniejsza od dziecka, które siedziało jej na kolanach. Nie było zresztą czasu na komentarze, bo właśnie do pokoju wszedł Paweł i od razu znalazł się w centrum uwagi niewielkiej grupy gości. Ukłękawszy przed babcią, przeprosił ją scenicznym szeptem za to, że nie ma prezentu, na co N. zareagowała natychmiast:

— Jak to: nie masz prezentu?! Możesz zrobić nam największy prezent, jaki można sobie wyobrazić — N. wskazała na ścianę, przy której stało czarne pianino.

Paweł uśmiechnął się i podszedł do instrumentu. Usiadł do nas plecami, skulił się i zatrzymał ręce nad klawiaturą, jakby czekał, aż pianino razem z nim odgrodzi

163

się od słuchaczy. Po chwili pokój wypełnił się muzyką, nad którą Paweł panował w sposób doskonały, jak zawsze zresztą.

Nagle w rogu pokoju coś się poruszyło. To mały zsunął się z kolan babci i powoli zdejmując rączkę z oparcia, stanął na własnych nogach. Pierwszy raz. Kiwając się trochę, stał otoczony pustą przestrzenią i patrzył przed siebie w jakimś hipnotycznym zdumieniu. Potem wysunął jedną nogę i nie odrywając stopy od podłogi, zrobił krok. Pierwszy. Wstrzymaliśmy oddech. Muzyka odpłynęła gdzieś na drugi plan. Patrzyliśmy na dziecko jak świadkowie cudu. A przecież nie było to pierwsze dziecko, które zaczęło chodzić o własnych siłach. Dlaczego poruszyło

nas bardziej niż dojrzałość muzyki? Może za każdym razem, widząc kogoś u samego początku, mamy nadzieję, że nie powtórzy naszych błędów?

Kiedy dziecko było na środku pokoju, Paweł mocnym akordem zakończył koncert, ale my nie poruszyliśmy się nawet, w obawie zburzenia misterium pierwszych kroków.

Wtedy w kącie znowu ktoś się poruszył. Staruszka wstała z krzesła, kiwając się niepewnie w pustej przestrzeni, wysunęła nogę i zrobiła pierwszy krok. Pierwszy krok w osiemdziesiątym trzecim roku życia. Ale na to nikt nie zwrócił uwagi.

19 maja 2001 r.

Darii Trafankowskiej

Dusiu. Leży przede mną książka Hanny Karolak Duś&a. Powstawała, jeszcze zanim zachorowałaś. Jest to jeden z najprawdziwszych portretów, jakie czytałam. Składa się z krótkich epizodów Twojego życia, każdy ma swój tytuł, puentę, jak w dobrym scenariuszu. Ale kiedy tak spojrzeć na ten zbiór faktów z oddalenia, wyłania się cała Ty — taka, jaka byłaś, i taka, jaką chciałaś, by Cię widziano. Osoba, która mimo ciężkich doświadczeń nigdy nie pozwoliła swoim uczuciom wyjść poza czystość uczuć dziecka. Dzięki tej książce Twoje życie jest na zawsze obecne.

Ale kiedy Twoi przyjaciele opowiadają o szpitalu, ostatnim etapie Twojego życia, przychodzi mi do głowy, że coś trzeba z tym zrobić. Podać do publicznej wiadomości to, z jak wielką klasą podjęłaś to ostatnie wyzwanie.

Duśka umierała na siedząco. Drobniutka, porcelanowa, przepiękna. Z telefonem komórkowym w ręku. Otoczona przyjaciółmi. Zawsze dużo mówiła i teraz też — na tyle, na ile mogła. Słuchała uważnie i była obecna. Na tyle, na ile mogła.

Opowiadała o bólu. Zawsze dużo mówiła o tym, co się z nią dzieje, co się w niej dzieje, co chce zmienić. Dzielila się. Teraz składała sprawozdanie z bólu.

165

Potem już chciała być tylko z najbliższymi. Każdy, kto do niej przychodził, mówił, że to do końca była Dusia. Że nie wzięła roli Umierającej.

Może trzeba zacząć się tego uczyć? Może powinny powstać szkoły odchodzenia?

Ludzie odchodzący są z dnia na dzień bardziej skupieni, jedni na szczegółach — jak niemowlęta obserwują kontury mebli, odkrywając ich tajemnice — inni się w sobie zagłębiają, dochodząc do jakiejś cichej prawdy o sobie samych. I może tym właśnie jest śmierć? Może trzeba zacząć myśleć o umieraniu tak, jak się myśli o urodzeniu? Jaka to różnica w gruncie rzeczy?

Dwa najważniejsze święta w życiu. Dwie granice, za którymi jest tajemnica.

Może trzeba do śmierci podejść z taką czułością jak do narodzin? Też wychodzi się z ciała. Może trzeba wziąć całą wstecz, zmienić sposób patrzenia na umieranie? Zbliżyć się do niego, podejść blisko, z ciałą ciekawością? Umierający z godziny na godzinę stają się mądrzejsi. Oddzielają się od masek, mitów, słów, od fałszu, który nas, żyjących, tak codziennie przytłacza. Czas dla nich jest długi jak dla motyla. Jeden dzień jak całe życie. Każdy oddech cenny.

Może od umierających należy uczyć się życia? Niech Daria będzie tą pierwszą nauczycielką.

12-13 czerwca 2004 r.

Zupełnie Nowy Rok

Od początku, odkąd pojawił się na horyzoncie, nie pasował do ulicy. Zbliżał się do przystanku znacznie wolniej niż inni, szedł chwiejąc się, prowokująco posuwał nogę za nogą. Widząc go z daleka, myślałam, że jest młody i całkiem niezłe ubrany.

Dopiero kiedy podszedł bliżej, zobaczyłam, że jego spodnie zwisają nie z powodu stylu, lecz z powodu nagłego schudnięcia albo zmiany właściciela. Mogły być po

prostu wyjęte ze śmietnika, gdzie wepchnięto je prosto z luksusowej szafy. Teraz poplamione, związane sznurkiem, wisiały na mężczyźnie o długich włosach ściśniętych gumką. Włosy miał gęste i może kiedyś piękne, kiedy jeszcze rozplątywał je grzebieniem i mył przynajmniej raz w tygodniu. Teraz posiwiałe, splątane i brudne wyglądały jak zwiędły bukiet ziół.

Mężczyzna miał na sobie koszulę nieokreślonego koloru. Za taki nieokreślony kolor słono się płaci w luksusowych sklepach. Ktoś zadaje sobie wiele trudu, żeby w materiał z nutką jedwabiu wetkać urok bylejakości. Majątek kosztuje taka koszula, która wygląda, jakby dopiero wróciła z włóczęgi. Wielcy koloryści zajmują się uzyskaniem takiej barwy, która wygląda, jakby była kiedyś jakimś kolorem, ale wyblakła od ocierania się o prawdziwe życie. Cenione jest też wysoko wrażenie ciemnych

167

smug na koszuli — coś w rodzaju impresji potu i śladów mocnych wrażeń. Ale za koszulę tego człowieka nikt nie dałby ani grosza, mimo że spełniała wszystkie warunki. Brakowało nutki jedwabiu.

To samo z kurtką. Miała chronić przed zimnem, ale mężczyzna — jak przystało na znawcę markowych strojów — nie zapiął jej na guziki. Różnica między markową kurtką a tą była tylko taka, że ta nie mogła być zapięta — jedyny guzik zwiisał na cieniutkiej nitce jak mleczny ząb.

Kiedy mężczyzna zbliżył się do przystanku, mogłam zobaczyć jego twarz. Musiał pić już od dawna, bo trudno było odgadnąć rysy ukryte pod opuchlizną, lewe oko miał przymknięte jakby w bolesnym skurczu, skórę gąbczastą i zaczerwienioną. A jednak była w nim jakaś klasa, jakiś ślad dawnego stylu, niezależności, może urody, zmarszczka od kpiącego uśmiechu, jakaś aura artysty. Kiedy zbliżył się do przystanku, myślałam, że pójdzie dalej, ale on przystanął, odwrócił się, postać chwilę i powoli usiadł na pobliskim murku. Być może pierwszy raz. I być może na zawsze.

Murki to drugie życie miast. Omijane jak siedliska choroby. Ludzie murków kłócą się ze swoimi kobietami, chrypią na całą ulicę, dopadają do siebie, odskakują, żyją wokół swojego murka mocno, intensywnie, walcząc o pół papierosa do utraty tchu.

Coraz częściej ich widzę. Nowe pokolenie ludzi murków. Mają długie włosy związane gumką jak zwiędły bukiet ziół.

Ten też zrezygnował z dalszej drogi. Patrzył beznamiętnie na przystanek, na psa bląkającego się po ulicy, na staruszkę z pustymi słoikami w plastikowej torbie.

168

Ożywił się tylko, kiedy w sam środek przystanku wpadła grupa młodych ludzi. Wszyscy mieli na sobie rogi jelenia i skakali na skakance, uprawiając w zdumienie całą przystanek. Flash mob — umawiają się przez Internet, że zrobią coś idiotycznego, coś, co wprawi w zdumienie całą ulicę. Im dziwniej, tym lepiej. Poruszą tę stojącą wodę. Rozbiją kolorem. Złamią konwencję ulicy.

Jestem za! Całym sercem jestem za! Mam nawet parę pomysłów: zbieramy się w umówionym miejscu i nagle... podbiegamy do staruszki z pustymi słoikami w plastikowej torbie! I pytamy, czy pomóc. Każdy do innej. Przecież wszędzie są. Ulica zbaranieje! Innego dnia wpadamy z torbą jedzenia dla bląkającego się psa. Każdy do innego! Ulicę zatka! A potem nagle podbiegamy do murków i pytamy gościa z włosami jak zwiędłe zioła, czy może by wstał. Czasem pytanie wystarczy. Jaja będą! Ulica się przekreśli! Ludziom szczeka opadnie, bo czegoś takiego nie widzieli nigdy!

Takiego zakręconego roku w tak zakręconym kraju, gdzie łamie się konwencję ulicy, gdzie grupki zakręconych podchodzą do zagubionych, takiego 2004, jakiego świat nie widział, wam życzę!

3 stycznia 2004 r.

budynek na skraju pola, a naprzeciwko cukiernia. Cata obolała od marszu, stanęłam na końcu kolejki.

— He to się człowiek namęczy, zanim tu dojdzie — jakaś kobieta pokiwała głową z radosnym współczuciem.

— Ja to mam, kochana, żylaki i nadciśnienie. Jak tutaj dojdę, to mnie dusi. Ale co zrobić: jak człowieka najdzie na te ciastka, to nie ma takiej siły...

— A mnie to lekarz mówi: „Jak pan sobie chce. Pan musi zrzucić nadwagę, bo serducho wysiadzie. Żadnych słodyczy”. A ja się go pytam: „A pan doktor to naszą cukiernię omija z daleka?”. Tak się śmiał! Ja właśnie dla niego po ciastka stoję. Dla siebie i dla doktora — dorzucił mężczyzna, potrząsając wielkim brzuchem.

— A najgorzej, że nie można zjeść jednego. Ręka sama idzie po drugie i trzecie. Ja to potem chora jestem z tego — kobieta o podkrążonych oczach zaniósła się szczerym śmiechem.

— No bo to śmietana wątrobę rozsadza — blady mężczyzna zachichotał serdecznie.

— Ale ja mówię: wolę żyć krótko, ale przyjemnie.

— Oj tak... co to człowiek ma z tego życia... tyle, co chwila słodyczy. Mąż mówi

— sama się obżerasz i mnie wciągasz... bo jak te ciastka tak stoją, to nie idzie nie zjeść. A męża to po tym tak pali... no ale co zrobić... — szczupła kobieta o zmęczonej twarzy zamilkła nagle, patrząc w stronę podłużnego budynku. — Przyjechali.

Na skraju pola zatrzymał się mały busik, z którego wysiadła grupa ludzi z walizkami i tobołkami. Kolejka do cukierni znieruchomiła.

— Długo tu nie pomieszkają. Już nasza w tym głowa

— mruknął blady mężczyzna. — Po moim trupie. Żadne narkomany nie będą się tu pętały.

171

— Mnie tam ich nie żal... — syknęła kobieta o podkrążonych oczach. — Jakie życie, taka śmierć. Jak na-grzeszyli, to niech pokutują.

— Ja to bym jeszcze takiemu dołożył! Trzeba było myśleć, zanim się za igłę brałeś, ćpunie jeden! A teraz pieszczą się z nimi, kiedy normalny człowiek na czynsz nie ma — mężczyzna z wielkim brzuchem splunął w stronę budynku.

— Ja sobie nie życzę, żeby ćpuny takie kręciły się przy moich dzieciach! —

Człowiek z wielkim, czerwonym nosem dygotał cały, rozglądając się za kamieniem.

— W piekle powinni mieszkać!

Kolejka posuwała się szybko. Ludzie wychodzili z cukierni, trzymając w rękach białe pudełka. Chichotali, podskakiwali, a potem, przyspieszając kroku, znikali w głębi ulicy. Kiedy stanęłam przy ladzie, nie chciało mi się już ciastek.

Naprawdę. A jednak powiedziałam: — Dziesięć proszę.

Nie wiem dlaczego. Może wstydziłam się innych. Jakaś kobieta rozpakowała pudełko od razu. — Ja to wszystkie zjem, zanim dojdę do domu, a potem leżę jak ta głupia, ale co zrobić, raz się żyje.

Kiedy wychodziłam z cukierni, grupa ludzi na skraju pola wyciągała z busika kołdry, drobne meble. Przed cukiernią formowała się coraz dłuższa kolejka.

Wszyscy patrzyli z odrazą w stronę pola.

3 lutego 2001 r.

?

Cud w kosmetyczce

Porządek to potęga — powiedziała N., patrząc, jak B. szuka w torebce komórki. Pięć minut temu też szukała. Telefon najwyraźniej bawił się z nią w chowanego, nurkując między stertą kwitów pocztowych, puderniczek, papierków od gum do żucia, szminek, agrahek. B. trzęsła rozpaczliwie torebką, w której dzwoniło to z tej, to z innej strony. Kiedy wreszcie złowiła telefon, komórka przestała dzwonić. Komórki takie już są. Złośliwe, nieczułe, wredne. A kiedy chcesz przynajmniej wiedzieć, kto nie mógł się dodzwonić, wyświetla: „brak numeru”, i udaje bezradną. I pewnie dlatego B. wrzuciła ją z powrotem w otchłań torebki, a komórka zanurkowała od razu między dowód osobisty, podarte fotografie, różowy piasek pudru. I oczywiście zaczęła dzwonić. Komórka zawsze dzwoni wtedy, kiedy znajdzie w torebce bezpieczną niszę i jest niedostępna dla ręki, która szuka jej wszędzie jak głodna ośmiornica.

N. patrzyła ze zgorzaniem, jak B. znowu potrząsa torebką, zanurza tam rękę, potem głowę, wreszcie wysypuje na stół wszystko, co przez lata kazała jej połknąć. Były tam więc stare bilety tramwajowe, zdjęcie byłego męża, kawałek gipsowej żyrafy, okulary z jednym szkłem, trzy pilniki do paznokci, puderniczka bez pudru, obrazek św. Jerzego, sztuczna kość dla psa, dwie szmin-

173

ki, splecione korale, żarówka, dowód osobisty zlepiony gumą do żucia. No cóż. To było coś więcej niż torebka. To był obraz duszy?., jej stanu psychicznego, jej niecierpliwości, braku celu. Gdzie jej tam do torebki N.!

Torebka N. była dokładnym odwzorowaniem tego, co przyświecało jej życiu: dążenia do idealnego stanu. Niezbędne przedmioty wkładane z rozważą i zgodnie z logiką dnia służyły konkretnym celom, mając tam swoje miejsce i przestrzeń.

Wystarczyło spojrzeć na samą N., żeby zrozumieć, że to się opłaca. Ach, N.!

Wszystko od czubka głowy po palce u nóg absolutnie idealne! Ani jednej zmarszczki, plamki, fałdki, cienia czy worka! Nic! Ciało jak tafla szkła.

— Wszystko jest kwestią porządku — powtórzyła N. i zaprowadziła nas do swojego laboratorium. Mieściło się w łazience, gdzie równym rzędem były ustawione słoiczki różnej wielkości i kształtów. Od kremu na zro-gowaciały naskórek stóp, przez te do pielęgnacji śródstopia, kolan, pośladków, fałdek na plecach, na wklęsły brzuch, podniesienie biustu, zwiększenie obwodu biustu, szyję, podbródek, kąciaki ust, cienie pod oczami, powieki, zmarszczki mimiczne i zmarszczki dojrzałości, coś do smarowania nasady włosów i rozdwojonych końcówek — każdy skrawek ciała miał tu swoje lekarstwo. Patrząc na to wszystko, miałyśmy z B. jedno tylko pytanie: o której N. wstaje?

— O szóstej — powiedziała, czym wpędziła B. w jeszcze większe zakłopotanie i kompleksy. Dlaczego ona tak nie umie? Staralam się wytłumaczyć jej, że zawsze jest coś za coś, że w lesie są różne drzewa, że jej nieuporządkowana natura ma też swoją urodę, ale na nic.

174

B. wyciągnęła z konta ostatnie pieniądze i wykupiła całą drogerię. Patrzyłam z przerażeniem, jak wysypuje na pralkę stos różnych słoiczków. Jak wrusza ramionami, kiedy pytam ją, czy aby na pewno będzie tego używać. Czy nie zapomni? Czy wie, że do tego trzeba systematyczności? B. obraziła się na mnie i zobaczyłam ją dopiero po miesiącu. Smutna była. I dziwnie niekształtna. Jej śliczne dotąd piersi zwisały pod bluzką bezradnie, a brzuch jakoś urósł. Jakby napęczniał. Sterczał pod spódnicą jak góra. Nie pytałam, co się stało. B. powiedziała sama. Używała kremów sumiennie i bardzo systematycznie. Tylko

pomyliła. W biust wmasowała krem na spłaszczenie brzucha, a w brzuch na zwiększenie objętości biustu. B. rozebrała się i pokazała mi rezultaty. Jedno wam powiem. Te kremy są bardzo skuteczne.

24 kwietnia 2004 r.

Być kobietą

Tym razem odpowiadam na zadany temat. „Wysokie Obcasy” postawiły mnie przed pytaniem: Czy kiedyś żałowałam, że jestem kobietą? Czy czułam gorycz z tego powodu? Inaczej mówiąc — czy mnie kiedyś „wy-autowali”?

Trudne pytanie, bo z uporem trzymam się zdania, że ludzie bez względu na płeć mają większą bądź mniejszą wrażliwość i tylko według niej przebiega linia podziału. Poza tym chyba mam w genach przeświadczenie, że „moc” to męskość. Pewnie dlatego, że wychowałam się w rodzinie, gdzie kult „głowy rodziny” miał całkowite uzasadnienie. Mężczyźni byli prawdziwymi indywidualnościami, ludźmi twórczymi, pasjonatami swojej pracy, z której utrzymywali dom. Kobiety to były „wielkie żony”. Swoją indywidualność i pasję skupiły na zapewnieniu tym mężczyznom klimatu do odpoczynku i pracy. Kiedy mężowie pracowali w domu, cisza była wręcz celebrowana. Można powiedzieć „święta cisza”.

Jestem pierwszą kobietą w rodzinie, która ma zawód i niezależność. Ale kiedy mężczyźni w mojej rodzinie pracowali, zamknięte drzwi ich gabinetów obchodziło się na palcach. Do mnie stale ktoś „nieśmiało puka”. Dom domaga się ciągle mojej obecności, opinii, inspiracji, jedzenia, dom cały czas czegoś ode mnie wymaga. A ja to coś muszę dać, bo inaczej nie czułabym się speł-

176

niona jako kobieta. Z drugiej strony ten dom z mojej pracy żyje. I czasem myślę... że do szczęścia brakuje mi żony. Poważnie. Takiej żony, jaką miał mój dziadek i mój ojciec. Gdybym nie była tak bardzo heteroseksualna, to-bym się ożeniła. Niestety. Sama muszę być swoją żoną.

Kiedy było już oczywiste, że nie da się ujarzmić mojej potrzeby mówienia własnym głosem, że nie nadaję się na pionka do przesuwania, wielokrotnie byłam „auto-wana”, ale zawsze broniłam się przed myślą, że to z powodu płci. Myślałam raczej, że ci ludzie mieli po prostu poczucie siły, a nie o tym, że to przeważnie mężczyźni, którzy myślą: „Nie będzie mi tu baba podskakiwać”. Nie znaczy to jednak, że jestem ślepa. Myśl: „To tylko kobieta” tkwi w naszej świadomości tak głęboko, że choćby nie wiem jak zatykać uszy, to i tak odzywa się dzwonek alarmowy.

Kiedy miałam trzydzieści lat, za sobą wiele ról, przed sobą jeszcze więcej, pewnego dnia wzięłam głęboki oddech, zadzwoniłam do jednego z teatrów i poprosiłam do telefonu dyrektora, mówiąc: „Napisałam sztukę”. W słuchawce słyszę głęboki jęk. Nie ukrywany. Jakbym tego człowieka kopnęła w brzuch. Włożyłam sztukę z powrotem do szuflady, myśląc, że ten człowiek pewnie dostaje dziennie kilka sztuk, jakieś potworne grafomanie, i na każdą nową reaguje alergicznie. Traf chciał, że tego dnia przyszedł do mnie kolega. I kiedy opowiadał mi coś swoim niskim, męskim głosem, doznałam olśnienia. Poprosiłam go, żeby zrobił dla mnie jedną głupią rzecz. Żeby zadzwonił pod pewien numer i powiedział, że napisał sztukę. Po chwili trzymałam drugą słuchawkę, słuchając radosnego: „Naprawdę? No to przynos pan jak najszybciej! Przecież czekamy na jakiś nowy dramat!”.

177

Dostałam kiedyś propozycję zagrania i reżyserowania jednocześnie. Wahałam się, bo nawet własnej sztuki nie reżyserowałam. Powinno być oko z zewnątrz. Praca z

dobrym reżyserem to cała frajda. Poradziłam się mężczyzny, któremu ufam. Pomyślał chwilę i powiedział z niesmakiem: „Masz grać i reżyserować? Jak pani X?”.

Dlaczego jak pani X?! Może ja bym grała i reżyserowała jak pan X! I może, jeśli zrobiłabym to źle, to nie tak źle jak pani X, tylko tak źle jak pan X! A jeśli dobrze, to tak dobrze jak Strehler! Co ma płęć do tego?! Ten mężczyzna sam się zdziwił, kiedy uświadomiłam mu, że traktuje kobiety jak jakąś odległą i dość prymitywną planetę.

Jest rok 1989. „Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm” — mówię w „Dzienniku TV” ku publicznemu zdziwieniu. W jednym z komentarzy prasowych czytam: „Co ona zrobiła?! Te kobiety chyba oszalały”.

Dlaczego kobiety? Przecież nie powiedziałam: „Proszę państwa, skończył się komunizm dla kobiet!”. Jeżeli nawet oszalałam, to przecież nie w imieniu kobiet, na litość boską! Czy gdyby to samo co ja powiedział pan X, komentator napisałby: „Co on zrobił?! Ci mężczyźni chyba oszaleli!”?

Ale jeśli mam odpowiedzieć szczerze na pytanie, czy były chwile, kiedy żałowałam, że jestem kobietą, to powiem: tak, były. Ale sprawiły to także kobiety. Kobiety z poczuciem siły bywają tak samo niebezpieczne jak mężczyźni. Bo ludzie bez względu na płeć mają większą lub mniejszą wrażliwość i tylko tędy przebiega linia podziału.

17 stycznia 2004 r.

urodzenia. Gdybym urodziła się w Arabii Saudyjskiej, pewnie nie byłabym katoliczką. Ale dobrze mi z moim katolicyzmem — dekalog jest rusztowaniem, na którym mogę oprzeć mój niedoskonały wzór postępowania. Czy jestem wierząca? Mam nadzieję, że tak. Urodziłam się z poczuciem, że Bóg istnieje — do dziś mój Bóg ma siwą brodę, długą białą szatę i bardzo dobrą twarz. Raj to łąka z przewagą zieleni, mały staw i kilka łabędzi — dokładnie taki, jaki narysowałam w dzieciństwie — i wierzę w ten raj.

Teraz „Solidarność”. Działałam w „Solidarności”, byłam tam całym sercem, ale gdyby ktoś kazał położyć głowę za to, że był to ruch prawicowy, to nie położę. Był to ruch rewolucyjny, walczący o godność ludzką, więc raczej do lewicowego bym go zaliczyła, chociaż za to zdanie może mi się nieźle oberwać.

Dalej. Brałam udział w koncercie wierszy Papieża z pełnym przekonaniem. Jest on dla mnie wzorem człowieka, który przez całe swoje życie odczuwał potrzebę rozwoju. Miał łaskę wiary, a świadomość, że ktoś żyje z takim darem, jest dla mnie źródłem siły. Same wiersze może nie są tak wielkie jak on sam, ale taki koncert to obcowanie z wielkim i dobrym duchem.

Następnego dnia, jak Pani słusznie zauważyła, byłam natomiast przed klubem „Le Madame”, gdzie z równym przekonaniem znalazłam się razem z młodymi ludźmi, którzy walczą o zachowanie tego miejsca. Dlaczego tam byłam? W obronie swojego miasta. Miasto jako zjawisko jest raczej paskudne. Jedyne, co w nim dobre, to to, że może być miejscem spotkań. Im więcej jest w mieście spotkań, tym miasto jest wartościowsze. „Le Madame” to miejsce otwarte na wymianę myśli. Miejsce o szcze-

182

gólnym klimacie tolerancji. Kto nie lubi, może nie wchodzić. Miejsce promocji książek na najprzeróżniejsze tematy, spektakle młodych ludzi, którzy nie mają gdzie się zrealizować — czasem świetne, czasem okropne — dyskusje, aukcje na rzecz schronisk dla zwierząt, a przede wszystkim miejsce żywe. Zabieranie miastu

takich miejsc to zabijanie miasta — takie jest moje przekonanie. Jeśli natomiast konieczna jest klasyfikacja człowieka jako lewego bądź prawego, to umówmy się, że moje poglądy idą zygzakiem.

8 maja 2006 r.

Krajobraz po bitwie

Rozbita filiżanka za taką cenę? Patrzyłam na wystawę i nie mogłam uwierzyć. Małe naczynie z porcelany stało za szybą współczesnej galerii jako jedyna dekoracja. Drobniotka, subtelna, ale cała pokryta cieniutkimi rysami, które dzieliły ją na nierówne kwadraty. Wyglądała trochę jak połówka miniaturowego globusa z dopływami rzek. A cena? Jak za dzieło sztuki!

— Bo to jest dzieło sztuki — powiedział uśmiechnięty sprzedawca, patrząc z czułością na filiżankę. Zrobiona przez wybitnego artystę. Pęknięcia są specjalnie żłobione. Długo musiałam wpatrywać się w naczynie, żeby dostrzec misterną pracę artysty. Żłobienia wykonane były też od wewnątrz, tak więc do złudzenia przypominały ślady po stłuczeniu. Sprzedawca podniósł filiżankę i podał mi ją ostrożnie, jak ukochane dziecko. Była prześliczna. Czułam ten rodzaj wzruszenia, który towarzyszy obcowaniu z pięknem. Na czym to polegało? Prawdopodobnie na pororcjach, jak zawsze.

Spojrzałam na sprzedawcę przerażona. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa. Sprzedawca podszedł do kasy, wypisał rachunek, a ja drżącymi rękami wyjęłam z portfela plik pieniędzy. Taka jest siła piękna i nie ja pierwsza byłam jego ofiarą.

184

Kilka dni minęło, zanim odważyłam się nalać w nią herbatę. Piłam ją wolno, małymi łykami. Ale odkąd filiżanka była w domu, nic mi się w nim nie podobało. Przemeblowałam mieszkanie. Kolor ścian też musiałam zmienić. Zmieniłam zasłony. Kupiłam sobie muzykę relaksacyjną. Kupiłam kadzidełko z zapachem migdałów. I tak było dobrze, tak było pięknie... I tak byłoby pewnie do tej pory, gdyby ciszy mojego mieszkania nie przerwał SKANDAL. Zawodowy, publiczny, prasowy, towarzyski...

Wybuchł zupełnie niespodziewanie, uruchomił telefony, wywiady, rozterki, wszędzie widziałam swoje zdjęcia z podniesioną pięścią (swoją drogą, jaka ja jestem niefotogeniczna!), anonimy (zdechnij, ty k...), gratulacje, pytania.

— I co teraz?

Teraz? Muszę się od tego odciąć.

— Ucieka pani?

Nie uciekam, tylko nagle czuję się zrośnięta z kimś w rodzaju syjamskiej siostry, której nie znam, a podobno nienawidzę. Zachwiała się przestrzeń sceny. Wszystko ma inny sens. Muszę od tego uciec. Może zostanę tramwajarką. Też zawód publiczny. Zaczęło się. Wywiady w telewizji. Nadrabianie miną. Lekarze. Niebezpieczny skok ciśnienia. Wszechobecna toksyna.

Stukam obcasami po mieszkaniu, szukam płaszcza, torebki, znowu płaszcza, pies kręci się w kółko i piszczy, dzwoni komórka i stacjonarny razem, zawijam nerwowo płaszczem tuż nad stołem i... strącam filiżankę. Dziesiątki kawałków porcelany leżą na podłodze. Siadam przy stole i sklejam.

185

Znam tu każdą ryse, więc z dokładnością zegarmistrza odtwarzam każdy skrawek, każde wyżłobienie. Siedzę nad tym kilka godzin. Telefony milkną powoli, ostatnia dziennikarka nagrywa się na sekretarce: „Nie ma pani w domu, więc, jak rozumiem, nic nie będzie z naszego wywiadu”. I słusznie. Ratuje filiżankę.

Późnym wieczorem filizanka jest cała. Skleiłam każde wyżłobienie, wygląda identycznie. Jak połówka małego globusa z dopływami rzek. Tak wygląda. Ale to już nigdy nie będzie dzieło sztuki.

29 maja 2004 r.

Pocztówka z Jerozolimy

— Chce pani zobaczyć prawdziwą Drogę Krzyżową? — człowiek o ciemnej twarzy mówi łamaną angielszczyzną, patrząc mi głęboko w oczy, dotyka mojej dłoni. Stoimy przed sklepem z dywanami w bocznej uliczce Jerozolimy.

— Bo On wcale nie szedł tamtędy — pokazuje wybrukowaną drogę idącą w górę. — Tędy szedł. Pod moim sklepem. — Mężczyzna uśmiecha się z rozczuleniem, jakby mówił o własnym dziecku. — Niech pani wejdzie, ja tylko pokażę wejście.

Wchodzę. Idę za mężczyzną między ogromnymi dywanami. Od tych dywanów jest jakos cicho, jakby cieplej, ale i groźniej. Dochodzimy do miejsca, gdzie widać drewnianą klapę prowadzącą do piwnicy. Mężczyzna odsuwa ją i pokazuje kamienne schodki prowadzące do ciemnego, zimnego korytarza.

— Tędy szedł — szepcze jeszcze raz, a ja patrzę na niego i próbuję doszukać się prawdy. Ma szczerze, błyszczące oczy dziecka.

— Ale dlaczego tędy szedł i nikt o tym nie wie? — pytam, a on wznosi oczy do góry, pokazując mi, że są rzeczy na tym świecie, o których decydują sprawy administracyjno-polityczne, a nie my, małuczcy. Przyglądam

187

się kamiennym schodkom. Są nierówne, śliskie, jakby ugięte pod ciężarem.

— Chce pani wejść? — pyta mężczyzna szeptem, a ja kiwam głową.

— 50 dolarów — mówi i wyciąga rękę.

Może bym nawet coś powiedziała ostro, gdyby nie te dywany. Ale mam wrażenie, że oddychają cicho, boję się ich trochę, więc tylko szybko wychodzę ze sklepu.

Mężczyzna wybiega za mną, przysięgając, że to wszystko prawda i że może trochę opuścić cenę. Idąc pod górę, staram się go nie widzieć. Mijam miejsca

poszczególnych stacji, których numery wypisane są na murach domów. Mężczyzna jednak kręci się obok mnie, wywijając rękami, i ciągle opuszcza cenę. Więc w

końcu krzyczę, żeby się odczepił. Że nie dam ani grosza. Że chcę dojść do

świętego miejsca sama, w ciszy, i żeby wracał do sklepu, bo jak mu ukradną

dywany, to straci więcej, niż zyska przy swoim złodziejstwie. Wtedy nagle on się

ucisza, pokorniej. Mówi, że przeprasza, że jestem dobrym człowiekiem i

zaprowadzi mnie do Grobu za darmo. I nic nie będzie mówił. Chyba że chcę, żeby

po-opowiadał. A jak nie chcę, to nie. Uśmiechamy się do siebie, a ja pozwalam mu

mówić. O tym, jak było, jak jest teraz, jak może być potem. Wreszcie docieramy

na górę. Kiedy stoimy przy wejściu do Grobu, mężczyzna wyciąga rękę.

— 20 dolarów — mówi chłodno. — Powiedziałaś, żebym opowiadał. Jakbym nic nie

mówił, to byłoby za darmo. — Zupełnie otepiała przyglądam się jego twarzy. Czy

to jest możliwe, żeby dwoje ludzi było tak daleko od siebie? Że stoi przede mną

ktoś, kogo nie mogę, nie umiem i nie chcę zrozumieć? Stoję przed Grobem i pew-

188

nie dlatego przychodzi mi do głowy skojarzenie z Judaszem. Odwracam się szybko, za szybko i... skręcam sobie nogę. Odruchowo chwytam Judasza za rękę, a on mówi:

— Sama nie zejdziesz. — I bierze mnie na ręce. I znosi z Drogi Krzyżowej. Za

darmo.

26 marca 2005 r.

Spotkanie

Najpierw muszę opisać Stachę — inaczej cała opowieść nie ma sensu. Lata

sześćdziesiąte. Właściwie znałam tylko pół Stachy, bo zawsze stała za ladą i nikt z tłumu, który cisnął się po leżące przed Stachą kawałki mięsa, od pasa w dół Stachy nie widział. Zresztą najważniejsze były jej oczy. Cały tłum napierający na ladę, czekający od rana na otwarcie sklepu patrzył w jej małe, rozbiegane oczka, ukryte w nadętych policzkach, tłustych od zajadania się szynką z zaplecza, co zresztą chętnie robiła na naszych oczach, mówiąc ochryplym głosem: — Szynki nie ma. Od tej szynki była zresztą chyba uzależniona, bo co chwila chodziła na zaplecze, poza tym jej czerwona twarz zdradzała objawy nadciśnienia, prawdopodobnie od tego mięsiwa, które królowa sklepu mięsnego pakowała sobie w siatki po pracy. Nie była to monotonna praca. Zdarzały się dni nudne, puste haki na mięso i pusty sklep, do którego danego dnia „nic nie rzucili”. Wtedy czasem tylko zjawiał się ktoś, kto z przymilnym uśmiechem patrzył w oczy Stachy, czasem kładł na ladę pudełko czekoladowych serduszek i pytał, czy może przypadkiem pod ladą Stacha ma coś w rodzaju wołowinki albo ze dwie parówki. Ach, ten smak władzy, smak dowodzenia, smak sterowania emocjami ludzi... Bo też co z ludzi wychodziło, kiedy na ladzie pojawiały się pokrojone

190

przez Stachę kawałki wołowego z kością! Jak to się tłoczyło, jak się przeciskało jedno przez drugie, jak ręce wyciągało, jak deptało po piętach i cisnęło na palce bliźniego! Wszyscy podobni do Stachy. Te same chytne oczka, nadciśnienie, nadęte policzki. A Stacha jednym słowem umiała ich uciszyć. Miała swoich faworytów, im dawała kawałek bez żył, a taki, co go nie lubiła, bo jej się od razu nie spodobał, to mógł długo prosić, a wyszedł najwyżej z otłuszczonym ochłapem. To tyle o niej.

Jest. rok 1979. Ranek. Upał. Idąc na spotkanie z Papieżem, nie wzięłam nic od słońca ani nie zabrałam wody. Po prostu nie myślałam o tym, że to jest kilka dobrych godzin w tłumie, w ścisłości i że wytrzymałość ludzka jest wystawiona na próbę. Mój sektor był daleko od ołtarza i bardzo z boku. Nie miałam szans wiele zobaczyć, może tylko te twarze ludzi cisnących się obok mnie. Nie mogłam pozbyć się natrętej myśli, że wszyscy ci ludzie są niezwykle piękni. I że to są przecież ci sami z kolejek. Jednak nie mogłam długo przyglądać się czemukolwiek,

b

bo było mi trochę słabo. Potworny żar i duchota. Widziałam tylko kawałek ołtarza z boku; jeszcze nic się na nim nie działo, a ja już byłam bliska udaru słonecznego.

Usłyszałam: — Może pani usiądzie na stołeczku?

To była Stacha. Trzymała w ręku maty plażowy stołeczek.

— Przyniosłam dwa. Jeden dla siebie, a drugi, myślę, może się przyda. — I postawiła przede mną stołeczek. Siedziałyśmy w milczeniu jeszcze parę godzin. Stacha miała ze sobą też butelki z wodą mineralną, którą polewała ludzi wokół siebie. Chustkę na głowę dostałam od kogoś z tyłu, ale nie wiem, kto to był. Od czasu do czasu Stacha lała wodę na tę chustkę. Potem zrobiło

191

D

się poruszenie i cały tłum się podniósł. Usłyszałyśmy spotęgowany przez mikrofony mocny męski głos i wtedy Stacha wzięła mnie za rękę. I tak stałyśmy. A potem wszyscy przekazywali sobie znak pokoju. Poczułam, że Stachę trzeba przytulić. I tak stałyśmy przytulone, i było nam z tym bardzo dobrze. Takie było moje pierwsze spotkanie z Papieżem.

9 kwietnia 2005 r.

Do chłopca, którego widzę codziennie

Często mam okazję przyglądać się temu chłopcu o smutnej twarzy i trochę przerażonych oczach. Zresztą nic dziwnego — jaką minę może mieć ośmioletni chłopiec, kiedy widzi przed sobą nieznaną, dojrzałą kobietę, która co jakiś czas wpatruje się w niego, jakby zobaczyła go pierwszy raz? Na ile lat mnie ocenia? W jego wieku trzydzieści czy sto to właściwie to samo. Jesteśmy z różnych planet. On wie mniej niż ja, ale też ma przed sobą więcej czasu. Wygląda na to, że się mnie trochę boi. Może wyczuwa we mnie coś przerażającego? Nie bój się. Jestem, powiedzmy... dobrą czarownicą. Wróżką... Jasnowidzem.

Uśmiechnij się. Nic złego Cię nie czeka. Jesteś nieduży, drobnej budowy, najmniejszy w klasie. Pewnie Twój smutek stąd się bierze. Oczywiście jesteś pewien, że nie urośniesz nigdy. W Twoim wieku ta pewność jest naturalna. Tak się myśli: „Taki już zostanę — najmniejszy, przerażony, bezradny”.

Urośniesz. Twoja głowa będzie wystawała ponad innych. Już niedługo zrozumiesz, że Twoją bronią jest dowcip, poczucie humoru, wyobraźnia. Schowasz ten swój przyrodzony smutek przed światem, który będzie otwierał przed Tobą wiele drzwi. W młodości spotkasz mistrzów. To jedna z najważniejszych rzeczy dla rozwoju

193
młodego człowieka. Potem sam się staniiesz mistrzem. Będziesz miał wiele stanowisk, odznaczeń, będziesz stał przed tłumami ludzi, którzy słuchać Cię będą z uwagą. Ale nie przewróci Ci się w głowie. Twoja broń, czyli dowcip, każe Ci patrzeć na siebie z dystansem. Ożenisz się z kobietą, która wszystkie siły odda, żeby stworzyć Ci dom. Będziesz miał dziecko. I niedużo czasu dla tego dziecka. Będzie miało podobny smutek w oku. I ten smutek schowa przed ludźmi, posługując się poczuciem humoru. Siłą genów. Kiedy dziecko dorośnie, zaprzyjaźnicie się i poznacie lepiej. Ale tak naprawdę, naprawdę dobrze Twoje dziecko zacznie Cię poznawać, kiedy odejdziesz. Bo odejdziesz. Jak każdy. Wtedy Twoje już dorosłe dziecko zacznie myśleć o Tobie, jakby czytało skończoną powieść. I za każdym razem odnajdzie w niej coś nowego. Coś, co pozwala zrozumieć więcej z Twojego dobrego, pełnego życia. Nie bój się. Będzie dobrze. Lepiej, niż myślisz.

Odkładam Twoje dziecinne zdjęcie na półkę.

Twoja córka, Tato.

30 października 2004 r.

Cytaty

— Pani się nie boi w okno patrzeć? — siedział przede mną i kiwał się razem z pociągiem, usiłując udawać trzeźwego. Naprawdę bardzo chciał pogadać, z tym że brakowało mu pomysłu. Nie ułatwiałam mu zadania, wpatrując się w okno, więc postanowił w tej sprawie zabrać głos i powiedział właśnie to: — Pani się nie boi w okno patrzeć?

Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że tego wszystkiego, co mija pociąg, można by się przestraszyć. Dopiero kiedy padło to niezbyt trzeźwe pytanie, zobaczyłam garbate wierzby nad podmokłą ziemią, przedburzową aurę z jedną krową w tle, krzywe chałupki pod lasem. I kiedy tak oglądałam ten smutny film o Polsce, do przedziału wszedł inny mężczyzna, wyjął komórkę i mruknął w słuchawkę: — No cześć, głowa mnie boli od tego sushi.

Zaraz potem dodał: — Więc tak. Niemiec połknął. Ciężko było, ale połknął.

Mężczyzna, który chciał pogadać, zwrócił się do tamtego: — Najlepsze sushi jest w „Marysieńce”. Tam jest taka chińska knajpa „Marysieńka”.

Po czym zwrócił się do mnie: — Do Kutna jadę z zębami. Żona moja to jest gość teraz. Pieczętkę ma suka. Już się człowiekowi nawet śpiewać nie chce.

195

A potem, wpatrując się we mnie, zapytał: — Pani z Tarnowa? Jak to nie? Przecież widzę.

Wyjęłam długopis i dyskretnie zaczęłam zapisywać to wszystko. Te dialogi w połączeniu z tym, co za oknem, były czymś pośrednim między filmem a kabaretem, właściwie nowa jakość w sztuce — „spektakl dokumentalny”, przeżycie jednostkowe. I tak zaczęły się moje zapiski z pociągów. Krótkie cytaty z deszczem w tle.

Stanowią szczególny obraz naszego kraju — mozaikę nie wymagającą komentarza. Zanim jednak napiszę, o co mi tak naprawdę chodzi, jeszcze kilka cytatów: „Z twarzy to ja do nikogo nie jestem podobny”, „Będąc dzieckiem, było lepiej”, „Moim zdaniem ma nogę, tylko udaje”, „Syn mi zdał na studia”, „Przepraszam panią, czy tu nie ma War-su?”, „Ja uważam, że Żydzi są tacy sami jak inni, tylko każdy musi się przyznać”, „I pani powie, na kogo głosować? Bo w tej telewizji nie mówią w końcu”, „Wolne? Z tym że uprzedzam panią, że jestem czerwony”, „I co mi z dziecka, jak nie mam CV”, „Do czego to podobne, co oni z nami robią. Ja to tam byle do domu się położyć i nie patrzeć na to, co oni z nami wyprawiają”, „Stasiu, ja cię kocham tu w sercu, mordó. Aż mnie szczypie”, „Przepraszam, czy pani ten komunizm odwołała? Bo w telewizji to pani tęższa na oko tak?”, „Ile tylko mogę, siedzę w ubikacji. Żeby tylko nie widzieć tego, co się dzieje z ludźmi, tego, co się dzieje z naszym krajem, ze światem, ten brak kultury, ten potworny barbarzyński zalew prostactwa”.

A teraz przejdę do sedna. Kupcie sobie album Polska niezwykła. Nie jest tani, ale zastrzyk optymizmu to duża inwestycja. Czy my w ogóle wiemy, co dzieje się w kraju poza krajobrazem za oknem? Że mamy Europejską

196

Wioskę Bocianią? Muzeum najmniejszych książek świata ręcznie pisanych? Prywatne muzeum diabła polskiego? Muzeum opowiadaczy historii? Odkąd mam ten album, znacznie mniej się boję w okno patrzeć, nawet jeśli jem sushi w chińskiej knajpie „Marysieńka”.

22 maja 2006 r.

Ciepłe bułeczki

Słynny dramaturg Eugene Ionesco zaczął swoją karierę od kontrowersyjnego artykułu w prasie na temat literatury. Natychmiast ukazała się ostra polemika, w której obśmiano, poniżono i zniszczono Ionesco jako płytkiego ignoranta piszącego o rzeczach, o jakich nie ma pojęcia. Cała sprawa poruszyła środowiska inteligenckie, podniosła temperaturę w niejednym domu. I wszystko byłoby proste, gdyby nie to, że autorem polemiki okazał się... Eugene Ionesco. Autor Łysej śpiewaczki zabawił się z czytelnikami, pokazał, że przy odrobinie cynizmu można prowadzić wojnę na słowa, siedząc przy jednym biurku.

A było to wiele lat przed tym, jak młody Amerykanin upozorował ścięcie swojej głowy, udając irackiego zakładnika, i wprowadził w błąd światowe media.

„Wirtualna inteligencja” rozwija się w takim tempie, że Eugene Ionesco mógłby dziś sam siebie wykończyć nerwowo jako dowolnie wymyślony prześladowca. Dlatego kiedy ktoś mi powiedział, że w Internecie po każdym z moich felietonów wywiązuje się dyskusja i że bym tam zajrzała, długo nie mogłam się zdecydować, czy rzeczywiście chcę wejść na teren, gdzie wszyscy mogą być jedną zdolną, dowcipną staruszką, która chichocząc, bawi się w forum.

198

Gdzie jest dowód na to, że wszystkich za i przeciw nie wystukuje jedna ręka? Oczywiście prawdopodobieństwo takie jest do n-tej po przecinku, a niektórych wrogów i tak poznaję po charakterze pisma. Zostawię więc polemikę z obrazem mojej osoby jako Maty Hari i tajemniczego demona, który „wiadomo jak” (bestyjka ze mnie, swoją drogą) dochodzi swego, i zajmę się pewnym zarzutem, który ma w sobie coś więcej.

Cytuję: „Ple ple ple, a kaska leci... może by Pani Szczepkowska zajęła się wojną w Iraku”. Dalej jest już poniżej pasa, jak to w Internecie, a mianowicie, że ja tu „o ciepłych bułeczkach, a tam nasi żołnierze zabijają cudze dzieci”. Niby nic, banalny, głupi atak, demagogia... Chociaż tak właśnie, litera po literze, skojarzenie po skojarzeniu, rozbudza się najniższe instynkty, fanatyzm i ogólny toksyczny wrzask.

Co do „kaski” za felietony, to zdrobnienie słowa „kasa” jest tu na miejscu. To rzeczywiście raczej kaska niż kasa. A teraz co do wojny i ciepłych bułeczek. Obojętne, kim jesteś, anonimie internetowy, potraktuję cię poważnie. Czy myślisz, że nie byłoby mi łatwiej napisać tekst o tym, że pokój jest lepszy niż wojna? Wyć z oburzenia wobec niewinnych ofiar? Oskarżyć, kogo się da? Wyjść przed szereg tylko dlatego, że mam tu swoją stronę?

Póki mogę, będę opisywała nogę pająka, chusteczkę do nosa, paznokiec i szum kanalizacji. Wszystko, co w sekundę można stracić dzisiaj przez kilku zamaskowanych... szaleńców? Desperatów? Morderców? Bohaterów? Katów? Ofiary? Nie ma odpowiedzi. Jest albo praca nad szukaniem wyjść, albo robienie rzetelnie tego, co się umie. Będę pisała o drzazdze w nodze, o pękniętym schodku, o spi-

199
naczy i o łyżeczce do herbaty. Będę ci tym machała przed nosem, aż zrozumiesz, że aby walczyć przeciwko wojnie, trzeba też umieć docenić to, co jest. Również to, że jeszcze, jeszcze możemy sobie kupić... ciepłe bułeczki. Ze skórką trzeszczącą pod palcami. Spékane w gorącym piecu. Pachnące domem. I to jest mój protest przeciwko wojnie.

ISIS

2-3 października 2004 r.

Spis treści

ZNAM DWIE PIOSENKI / 5-

Dwie piosenki / 7 Dziewczynka z kamieniem / 10 Wystawa / 13 Smak pomarańczy / 16 Gdybyśmy tylko umieli / 19 Pierwsze piętro / 22 Marta — temat dnia / 25 Nostalgia / 28

DZIECKO NIE ZAPOMINA / 31 Łobuz / 33 Osiem liter / 36 Małe szkoły / 39

Kochani rodzice Sławka / 42 Do Ministra Edukacji / 45 Przesralnia / 48

Mały człowiek do wielkich interesów / 51 Dziecko nie zapomina / 54

SZTUKA UJADANIA / 57

Piesek / 59

Sztuka ujadania / 62

Koźlątko / 65

Ryby czyścicielki / 68

201

KRÓTKA ROZMOWA O WYŻSZYCH WARTOŚCIACH / 71

Monolog zza ściany / 73

Osoba publiczna / 76

Hotellus / 79

Krótką rozmowa o wyższych wartościach / 82

Cała prawda o Kopciuszku / 85
Głowa do interesów / 88
Dobra kobieta / 91
Niezależność / 94
Tytania / 97
Drogi Anonimie! / 100
RZĄDY CYFR / 103
Jednoręczność / 105
Do osoby, która mi go zabrała / 108
Jedno szybkie pytanie / 111
Człowiek Uśmiechnięty / 114
Jak wyprostować koło? / 117
Rządy cyfr / 120
Dzieli się / 122
Felieton 3892 7wwwxLS / 125
PIERWSZY RRZ / 129
Pudełko na myśli / 131 Psychozabawa / 134 Drogi samobójco! / 137 Prezent /
140 Uwaga / 143 Dysfunkcja / 146 Nierozłączki / 149 Oni / 151 Niby nic /
154
202
Nieobecna / 157
A znajdziecie / 160
Pierwszy raz / 162
Darii Trafankowskiej / 165
Zupełnie Nowy Rok / 167
Raz się żyje / 170
Cud w kosmetyczce / 173
Być kobietą / 176
CIEPŁE BUŁECZKI / 179
Zygzak / 181
Krajobraz po bitwie / 184
Pocztówka z Jerozolimy / 187
Spotkanie / 190
Do chłopca, którego widzę codziennie / 193
Cytaty / 195
Ciepłe bułeczki / 198
Redaktor prowadzący Lucyna Kowalik
Redakcja
Wiesława Otto-Weissowa
Korekta
Urszula Srokosz-Martiuk, Maria Wolańczyk, Krzysztof Lisowski
Projekt okładki, stron tytułowych i śródtytułowych
Przemysław Dębowski
Na okładce wykorzystano zdjęcie autorki
Fot. Jacek Piotrowski / Agencja Gazeta
Redakcja techniczna Bożena Korbut
PrintedinPoland
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2006
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia informacyjna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa S.A.

Redaktor prowadzący Lucyna Kowalik

Redakcja

Wiesława Otto-Weissowa

Korekta

Urszula Srokosz-Martiuk, Maria Wolańczyk, Krzysztof Lisowski

Projekt okładki, stron tytułowych i śródtytułowych

Przemysław Dębowski

Na okładce wykorzystano zdjęcie autorki

Fot. Jacek Piotrowski / Agencja Gazeta

Redakcja techniczna Bożena Korbut

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2006

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia informacyjna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Drukarnia Narodowa S.A.